



SYRENA

ORZEŁ BIAŁY

ROK XX

PARYŻ—LONDYN

Polska walcząca o wolność

NR 37/950 (646)

CZWARTEK 15 września 1960

TYDZIEŃ POLITYKI MIĘDZYNARODOWEJ

CZY O. N. Z. ZDA EGZAMIN?

KONGO wydaje się przygrzywką do właściwej rozprawy między Sowietami i wolną częścią kuli ziemskiej, jaka rozegra się na „sesji rozbrojeniowej“ ONZ w Nowym Yorku. Chruszczow wyłączył się pozornie na dni kilka z bieżącej polityki wybierając luksusowo — milionerski sposób dojazdu na sesję, której zamierza narzucić agendę, tak jak narzucił z góry jej charakter. Podróżuje na „Baltice“ w towarzystwie najbardziej podlego ze wszystkich swych namiestników w państwach satelickich. Jest z nim spłodzony osobiście przez Stalina i znienawidzony przez Węgrów Janos Kardar.

Chruszczow beztrudno wysłał depesze z pozdrowieniami do kierowników naw państwowych Francji i W. Brytanii z okazji mijania ich brzegów. Informuje również w zupełnie wakacyjnym stylu, że na Atlantyku panuje ładna pogoda.

Pomimo sowieckiego protestu Ameryka podtrzymuje zakaz swobody ruchów czerwonego dyktatora. W sformułowaniach brutalnie rzeczowych Stany Zjednoczone oznajmiły, że nie życzą sobie by Chruszczow poruszał się po Nowym Yorku. Nie wolno mu będzie wydalic się poza Manhattan, tak że nawet siedziba delegacji sowieckiej na Long Island nie będzie mu dostępna.

Chruszczow zatem nie będzie mógł odegrać roli dobrodusznego „niezapowiedzianego gościa“ na ziemi amerykańskiej. W tym przynajmniej względzie Departament Stanu zapobiegł sowieckim efektom propagandowym, które — być może — miały osłabić lub odrobić pamięć brutalnego zerwania paryskiego „szczytu“ a zarazem przekonać zarówno własnych obywateli jak i mieszkańców ogromnego bloku państw neutralnych, neutralistycznych i neutralizujących, iż potęgą sowiecka może sobie pozwolić na obrazę prezydenta Stanów Zjednoczonych wzbraniając mu wjazd do Moskwy, gdyż Chruszczowowi nikt nie wzbroni wjazdu do Nowego Yorku.

Eisenhower wyraźnie i zdecydowanie — a za nim Macmillan z pewnym jak się zdaje wahaniem — odmówił osobistego spotkania z Chruszczowem na sesji ONZ. Nie staną na czele delegacji swych państw, w przeciwieństwie do wszystkich przywódców partii w państwach satelickich, w przeciwieństwie do Tity, Castro i Nassera, oraz premierów mnóstwa państw i państewek stanowiących „szarą masę“ dostojnego zgromadzenia, którzy pilnie posłuchali wezwania Chruszczowa, by „szczyt“ odbył w obecności 106 członków ONZ.

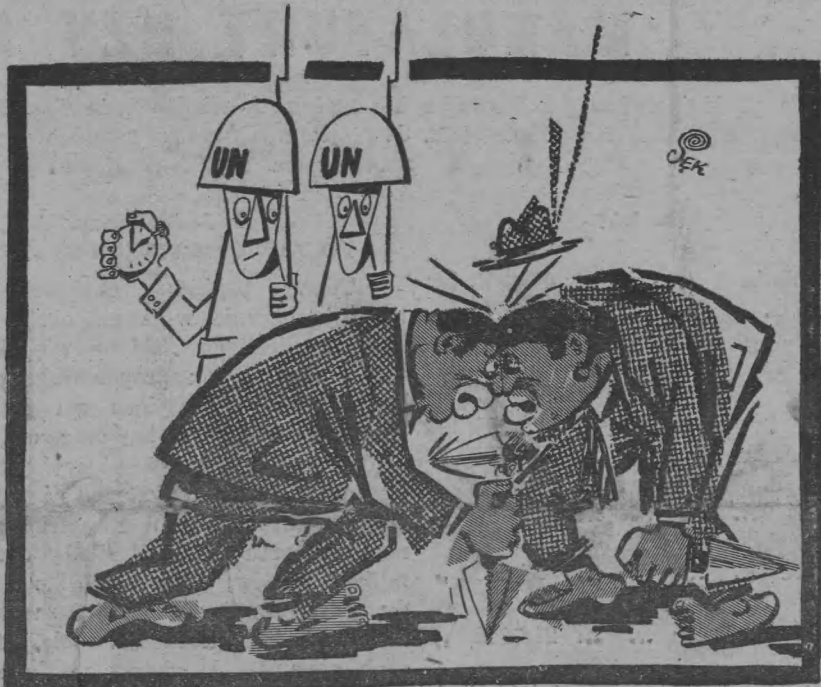
Podkreśla to zwanie szeregów świata wolnego jakie nastąpiło ostatnio. Jest to jednak tylko gest, którego znaczenie może nie dotrzeć do świadomości państw afro-azjatyckich i wywołać sporo konfuzji wśród przedstawicieli Ameryki Łacińskiej. W wyniku może znaczyć zmonopolizowanie nowojorskiej trybuny popisów propagandowego oratorstwa w

reku Chruszczowa i co krzykliwszych jego sprzymierzeńców. Nie należy się bowiem ludzi by podróż Chruszczowa była z pod znaku gałązki oliwnej, nawet gdy takie jej nada pozory. Celem istotnym i jedynym jest dalszy atak na prestiż i powagę Stanów Zjednoczonych. Pod hasłem rozbrojenia i pokoju Chruszczow wystąpi w roli orędownika polityki „jawnej i szczerzej“, w przeciwieństwie do „szczytów“, które są

udziałem potęg wybranych i konferencji rozbrojeniowych, w których uczestnicy nie chcą się ani dać zastraszyć ani wywieść w pole przy pomocy sowieckich weksli bez pokrycia. W Nowym Yorku chór państw, które nie mają się z czego rozbrajać ma poprzeć żądania Chruszczowa by rozbroiły się Stany Zjednoczone.

Chruszczow nie jest pokerzystą i nie siada do stołu karciowego zanim

(Dokończenie na str. 8)



ONZ w Kongo: My tylko mierzymy czas...

CZESŁAW JEŚMAN

KOTŁOWISKO W KONGO WIDZIANE Z SĄSIEDNIEJ ANGOLI

W ubiegłym tygodniu nawet prasowy rzecznik Organizacji Narodów Zjednoczonych przyznał się, iż nie ma pojęcia co się dzieje w Kongo. Należy mu współczuć a nie krytykować rzekomą nieudolność służby informacyjnej Daga Hammarskjölda. A to tym bardziej, iż z natury rzeczy, jako bezstronny, czy „ponadstronny“, organ ONZ nie może dać do zrozumienia publicznie iż wie nie tylko o najgłośniejszych intrygach w Kongo, ale i o tych pomniejszych, których jest więcej i które prawdopodobnie w ostatecznym obrachunku zaważą decydująco na losach serca Czarnego Łądu, jakże ciężko doświadczonych przez los i bynajmniej nie od dzisiaj.

Operetkowe malpiarstwo „rządowych“ przemian w Léopoldville jest mało ważne dla kogokolwiek poza figurami bezpośrednio zaangażowanymi w nich, no, i poza 13.5 milionami ludności olbrzymiego państwa. W ciągu 2 miesięcy stało się ono całkowitym bankrutem finansowym, pomijając nawet załamanie się w nim jakiegokolwiek porządku prawnego. Czy Kasavubu wyrzuci Lumumbę, czy Ileo zostanie premierem, czy Tschombe utrzyma się jako premier Katangi, czy Bolikango odzyska utracone wpływy, czy Kalonii zdoła ująć z Kasai, wszystko to nie posiada

żadnej wagi gatunkowej w porównaniu z narastaniem obcych, czy zewnętrznych wpływów w Kongo w chwili obecnej, ich przeplataniem się i zwalczaniem jednego przez drugi.

W kolejności nasilenia zaangażowania się palma pierwszeństwa przypada Sowietom. W chwili obecnej w Léopoldville funkcjonuje ambasada sowiecka i czeska, a personelu łącznym około 70 osób. Poza tym znajduje się tam przeszło 200 „techników“ wszelkiego rodzaju od szoferów i personelu nazimnego lotnisk do specjalistów „Agitpropu“ i tajnej policji politycznej

Transportowe samoloty sowieckie lądowały po drodze w Atenach, ale po uzyskaniu uprzedniej zgody rządu greckiego. Jako warunek postawili Grecy dokładną inspekcję celną i ładunków i maszyn dla stwierdzenia czy nie zajmują się one kontrabandą wojenną. Dla kogoś kto miał do czynienia z greckimi celnikami nie ulega wątpliwości, iż zaglądali oni nawet do zapalniczek Sowietarzy, a jeżeli chodzi o beceremonialność i głębokie poczucie własnej wyższości, szczególnie wobec Rosjan, Grecy trzymają prym na całym świecie. Zresztą po inspekcji ambasada sowiecka w Atenach uroczysto zaprotestowała przeciw brutalnemu traktowaniu sowiec-

kich obywateli przez władze lotniska. Ale nie oznacza to czystości intencji w Kongo, ale raczej ich nieznajomości miejscowego terenu. Z punktu widzenia Moskwy eksplozja nastąpiła tam zbyt wcześnie, bez należytego przygotowania i była zbyt chaotyczna żeby dać się ująć od razu w karby agentur. Te ostatnie zostały zwolane badające z całej Afryki dla usztywnienia Lumumbi. I tak np. szefem prasy i propagandy u Lumumbi jest nasz „rodak“ „G. Michel“. Prawdziwe jego nazwisko brzmi *Mieczysław Kokoczyński*. Urodził się z rodziców Polaków około 50

(Dokończenie na str. 4)

W TYM NUMERZE

DODATEK SPECJALNY

Leppkim piórem

PRZEGLĄD SPORTOWY

„ARRIVEDERCI A TOKYO 1964“

W niedzielę, dnia 11 września zakończyły się w Rzymie XVII Igrzyska Olimpijskie. Po ostatniej konkurencji, jaką były tego dnia drużynowe zawody hipiczne, weszły na stadion poczty sztandarowe wszystkich państw, które brały udział w Igrzyskach. Na trybunie, otoczonej wieńcem sztandarów, wśród preza Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego, p. Brundage i ogłosił uroczystą zamknięcie Igrzysk, zwołując jednocześnie młodzież całego świata do następnych igrzysk, które odbędą się w 1964 w Tokio. Gdy studenci włoskiej akademii sportowej wynosili w otoczeniu marynarzy sztandar olimpijski — oświetleni reflektorami, publiczność zapaliła 40.000 pochodni unosząc je wysoko w górę. Na tablicy świetlnej ukazał się napis: „Arrivederci a Tokyo 1964“. Był to niezapomniany widok...

Ostatnia korespondencja Józefa Garlińskiego z Rzymu

NARESZCIE doczekaliśmy się. Wszystko to zawdzięczamy Zdzisławowi Krzyszkowiakowi, który wygrał bieg na 3.000 m. z przeszkodami, bijąc najlepszych biegaczy świata.

Tuż przed godziną piątą, gdy słońce poczęło już chować się za pagórki ostatniące stadion od zachodu, ustawilo się na starcie 9-ciu smukłych ludzi. Trzech Rosjan, dwóch Niemców i po jednym Polaku, Belgu, Szwedzie i Amerykaninie (czarny). Strzał i na czoło wychodzi Konow, tuż za nim Niemiec Hüneke, Belg Realants i Szwed Tjornebo. Nasz Krzysk idzie spokojnie w połowie stawki. Mija pierwsze okrażenie i stadion poczyną się rozgrzewać. Podnoszą się okrzyki. Niemcy skandują krótkie, szczepliwe słowa, Francuzi, nie mając swego, podniecają Belga, Włosi dopinają czarnego Jonesa (USA) a od czasu do czasu, gdy cichnie nieco straszliwy harmider, słychać tu i tam: Krzyszkowiak, Krzyszkowiak! To grupki Polaków posyłają serdeczne słowa otuchy swemu biegaczowi, który walczy samotnie a na którego tak bardzo liczą. Mija pierwszy kilometr. Stawka rozciąga się. Zostają w tym Jones i Niemiec Hüneke, Konow ciągle prowadzi a Krzysk jest już blisko czoła. Skacze przez przeszkody pewnie, biegnie wspaniałym lekkim krokiem. Konow puchnie i spada na sam koniec, na czele jest Sokolow a tuż za nim nasz biegacz, nieco dalej drugi Rosjanin, Rżiszczyn, Szwed i Belg. Niemcy już się nie liczą, jeszcze tylko dwa okrażenia. Cały stadion stoi na no-

gach, krzyk jest tak straszny, że można nie można zrozumieć, młociarze przewrwali swe rzuty i śledzą bieg a na bieżni nadal czerwienieje na przedzie koszulka Rosjanina. Dzwonek, ostatnie okrażenie. Jeszcze kilkanaście metrów i nagle do przodu wyskakuje Krzyszkowiak. 5, 10, 20 metrów. Sokolow próbuje rozpaczliwie utrzymać się przy naszym biegaczu, ale jest bezsilny. Krzysk rozpoczyna finisz. Stadion zapomniał o innych faworytach i skanduje trudne, cudzoziemskie nazwisko. Ostatnie 50 metrów. Krzyszkowiak zwalnia, swobodnie przerywa taśmę i wtedy dopiero pozwala sobie na chwilę wytchnienia. Opiera się o przeszkodę i z opuszczoną głową ciężko oddycha. A stadion huczy od okrzyków: Brawo, brawo!

Czas naszego biegacza: 8,34,2, nowy rekord olimpijski. Drugi Sokolow (8,36,4), trzeci Rżiszczyn (8,42,2), dalej Rolants (Belgia), Tjornebo (Szwecja) i Müller (Niemcy).

Wspaniały, niezapomniany bieg! Krzyszkowiak dowiódł jeszcze raz, że jest dojrzałym, gotowym do każdej walki biegaczem. Gdy przemierza bieżnię swym długim, spokojnym krokiem, budzi zaufanie i pewność, że nie przegra, że można na niego liczyć.

BRAZOWY MEDAL ZIMNEGO NA 5.000 M.

Przeczyliśmy jeszcze jedną piękną chwilę, gdy Kazio Zimny dnia poprzedniego zrobił wszystkim radosną niespodziankę i wywalczył trzecie miejsce w klasycznym biegu na 5 kilometrów. Stawka biegacza była tak wyrównana, że na dobrą sprawę każdy z 12-tu finalistów mógł pokusić się o medal a wiele sław (Pirie) w ogóle nie doszło do finału, Zimny walczył z 3-ma Niemcami, 2-ma Australijczykami, ze słynnym Węgrem Iharosem, z faworytem biegu Nowozelandczykiem Halbergiem, z Rosjaninem Artyniukiem, z Włochem Contim, z Francuzem Bernardem i Nyandika (Kenia). Ponieważ nasz biegacz nie słynie z dobrego finiszu, tylko duże tempo biegu dawało mu szansę. Tak też się stało.

Zimny od razu objął prowadzenie i pociągnął przez kilka okrażeń tak ostro, że nadszarpnął siły przeciwników, choć żądał z nich nie odpadł. Dopiero po 3-ch kilometrach zaczął zostawać Contj, nieco później spuchł Artyniuk. Gdy dano wreszcie Zimnemu zmianę, pozostało w czołówce tylko dwóch Niemców, Halberg, Power i Nyandika. Prowadził Grodotzki, dopingowany szalenie przez Niemców. Nagle, tuż po minięciu 4-ch kilometrów, rzucił się do ataku Halberg i w ciągu kilkunastu sekund zdobył 30

W najbliższą niedzielę odbędzie się w Warszawie mecz lekko-atletyczny Polska — Anglia. Startować będzie m. in. Krzyszkowiak. Nie ulega wątpliwości, iż publiczność sprawi mu olbrzymią owację.

(Dokończenie na str. 5)

Ś. † P.

GENERAL ZYGMUNT PODHORSKI

Kawaler orderu Virtuti Militari, Polonia Restituta, Krzyża Walecznych i innych zmarł w Londynie, w dniu 12 września 1960 roku, przeżywszy lat 69.

Prawy żołnierz Rzeczypospolitej, wybitny dowódca, niezłomny bojownik o Niepodległość, poświęcił swe życie od najwcześniejszej młodości służbie Ojczyźnie.

Zachowajmy w pamięci Jego wielką i piękną postać

GENERAL WŁADYSŁAW ANDERS oraz przyjaciele i towarzysze broni

Msza św. za spokój duszy zmarłego odbędzie się w sobotę, dnia 17 września o godz. 9.00 w kaplicy św. Józefa w Brompton Oratory w Londynie, po czym nastąpi wyprowadzenie zwłok na cmentarz Brompton.

EP 2 157

SZÓSTE dziesięciolecie dwudziestego wieku, ukoronowane bieżącym rokiem 1960 może śmiało pretendować do nazwy okresu niezależniania się ludów Afryki. Podczas gdy w 1950 r. na mapie politycznej tego, drugiego co do wielkości kontynentu kuli ziemskiej (Azja — 44,2 mln. km. kw., Afryka — 29,7, Ameryka północna — 24,1, Ameryka południowa — 17,8, Europa — 10,0 Australia i Oceania — 9,0, Anarktyda — 13,4) widniały zaledwie cztery państwa niepodległe: *Egipt* (nowoczesny, od 1922 r.), *Etiopia* (od 200 r. przed Chrystusem) *Liberia* (od 1847 r.) i *Unia Płd. Afrykańska* (od 1910 r.), to pod koniec bieżącego 1960 r. ma ich być dziesięć.

Kolejność uzyskiwania niepodległości przez poszczególne obszary ekskolonialne była następująca: *Libia* — od 1951 r., *Maroko*, *Sudan* i *Tunis* — od 1956 r., *Gana* — od 1957 r., *Gwinea* — od 1958 r., a w 1960 r. stały się lub staną do końca grudnia niepodległe: *Somalia*, *Kongo*, *Nigeria*, *Kamerun*, *Senegal* i *Sudan fr.* czyli dawna *Federacja Mali*, w trakcie rozdzielania się wyżej wymienione na dwa osobne państwa, *Sierra Leone*, *Kongo fr.*, *Gabon* i *Mauretania*. Jak wskazuje dotychczasowe doświadczenie z Federacją oraz tendencje separatystyczne poszczególnych prowincji Konga, statutu terytorialnego powstałych w Afryce organizmów państwowych nie można uważać za ustabilizowany.

Najbardziej uchwytłą miarą znaczenia nowych państw afrykańskich będzie zestawienie ich przynajmniej niektórych obszarów oraz liczb ludności. Najrozleglejsze, to Sudan — 2.505 tys. km. kw., Kongo (dawne belgijskie) — 2.345 tys. km. kw. i Libia — 1.752 tys. km. kw., Etiopia — 1.184 tys. km. kw., Nigeria — 878 tys. km. kw., po czym idą: *Mauretania*, *Sudan fr.*, *Kamerun*, *Kongo fr.*, *Gana*, *Gwinea*, *Maroko*, *Tunis*, *Gabon*, *Liberia*, *Sierra Leone*. Odmienną hierarchię znaczenia tychże państw daje zestawienie liczby ich ludności. Najsilniej zaludniona jest Nigeria — 33 mln., po czym następują: *Egipt* — 24 mln., *Etiopia* — 20 mln., *Kongo* — 13 mln., *Maroko* — 10 mln., *Gana* — 5 mln., *Tunis* — 4 mln.

Ogółem „czarny ląd” afrykański liczył według spisów z 1955 r. ludności — 216 mln., przy — 1.496 mln. Azji, 565 mln. — Europy, 363 mln. — obu Ameryk, oraz 15 mln. — Australii i Oceanii.

Siła liczebna ani zwłaszcza poziom rozwoju, duchowej czy materialnej kultury nie kwalifikują jeszcze długo ludów afrykańskich do pierwszorzędnej roli w stosunkach światowych. W położeniu jednak, polegającym na rywalizacji przeciwstawionych sobie dwu bloków, narodów wolnych oraz imperium komunistycznego Moskwy, przyłączenie się do jednego z nich czy też neutralizm nowopowstałych i mających jeszcze powstać państw czarnego lądu, może nabierać poważnego znaczenia.

Zaciekłość, prowadzonej od końca II wojny światowej, komunistycznej akcji, konspiracyjnej i propagandowej na terenie afrykańskim, świata arabskiego oraz ludów czarnych, a ostatnio jawna interwencja Moskwy w wewnętrzne stosunki Konga, dowodzi jak ogromną wagę przywiązuje do tej sprawy międzynarodowy komunizm. Pozyskanie ludów ekskolonialnych do walki przeciw zachodowi, to zresztą jeden z podstawowych punktów doktryny leninowskiej, nigdy nie porzucony przez jego następców. Jak wiadomo, komuniści potrafili również na terenie

Z. S.

FAKTY I PERSPEKTYWY AFRYKAŃSKIE

Afryki przeniknąć do ruchów nacjonalistycznych krajów ekskolonialnych, wygrywając tam przede wszystkim nienawiść rasową do białych. Ignorancja ponadto i niski poziom wykształcenia pozwala tam agentom Moskwy występować swobodnie w charakterze aniołów wolności i pokoju, ponieważ prawda o Sowietach jest im zupełnie nieznana.

Poziom cywilizacyjny ludów afrykańskich sprawia też, że wstępując na drogę samodzielnego życia państwowego nie są przygotowane do ustroju demokratycznych wolności, które zaleca im i pozostawia w spadku Zachód. Natomiast rządy dyktatorskich kacyków, w istocie bliskie systemowi władzy komunistycznej, przyjmują się o wiele łatwiej, zwłaszcza jeśli lokalny spisek komunistyczny z Moskwy instruowany do tego celowo prowadzi. Ostatnio problemowi temu poświęcono w prasie zachodniej, zelektryzowanej rozpala-

jącą się wojną domową w Kongo sporo uwagi i zwłaszcza szerokie echo znalazł artykuł na ten temat wybitnej znawczyni spraw afrykańskich, *Elsbeth Huxley*.

Autorka ta z całą stanowczością przewiduje, że alternatywą przyszłości nowych państw afrykańskich będzie chaos, anarchia i krwawa walka szczepów między sobą, rozbijająca nowo powstałe organizmy państwowe od wewnątrz, albo rząd dyktatorów, stosujących przemoc i tyranie. Jeśli chodzi o przyszłość białych na czarnym lądzie, to szanse utrzymania się czasowego widzi tylko dla 2 1/2 miliona Płd. Afrykańczyków, podczas gdy na północy od rzeki Zambezi perspektywy dla nich uważa za beznadziejne. Stwierdzając dalej, że Rosja wyciąga rękę po Afrykę, E. Huxley podkreśla konieczności przyjaznego i uzgodnionego postępowania ze strony Zachodu. Najgorszy

okres walk wewnętrznych, chaosu i anarchii będzie jej zdaniem trwał jeszcze 2 do 3 lat, przy czym równolegle rozwijać się będzie dalej rywalizacja mocarstw zachodnich i komunizmu, walczących na czarnym kontynencie o wpływy.

Rywalizacji mocarstw o wpływy a nie żadnym wzniosłym zasadom ludy afrykańskie zawdzięczają swoją przedwcześnie zresztą często uzyskaną, niepodległość. Gdyby bowiem główną rolę miały tu odgrywać zasady wolności człowieka i narodu, pierwszeństwo należałoby się przede wszystkim starym narodom wschodniej Europy i Azji, których niewolę pod rządami totalizmu komunistycznego akceptują Narody Zjednoczone z obłudnym zamknięciem oczu. *Moralna stałość polityki zachodniej w tym zakresie wynika z faktu, że nie umie ona postawić programu wyzwolenia narodów, ujarzmionych przez*

komunistyczny imperializm Moskwy. Ograniczając się do obrony przed propagandowymi atakami komunistycznymi na kolonializm i imperializm kapitalistyczny, zachodnie mocarstwa skazują się na oplakaną rolę oskarżonych przed trybunałem opinii światowej.

Biednym jest także rozpowszechniony pogląd zachodni; wyrażony m.in. przez przytoczoną wyżej autorkę, *Elsbeth Huxley*, jakoby rozstrzygnięcie walki o Afrykę nastąpić miało na polu ekonomicznym. Wbrew tym merkantylnym poglądom, którym już wielokrotnie praktyka rywalizacji na innych terenach ekskolonialnych zaprzeczyła, zaufania i uznania ludów nie dostaje się za pieniądze. Bolszewicy mobilizują ich uczucia nienawiści rasowej oraz odpłaty w stosunku do dawnych, kolonialnych władców. Jest z pewnością trudniej odwołać się do pozytywnych uczuć ludzkich, ale nie należy w żadnym razie sprowadzać swojej akcji do ich kupowania.

CO CZYTA MŁODZIEŻ?

Pisze o tym *Władysław Kobylański* w *Nowej Kulturze* z 29 maja b. r. Przytacza wyniki ankiety przeprowadzonej wśród młodzieży krakowskiej. Z pism codziennych najbardziej poczytnym jest *Echo Krakowa*, zawierające mało wiadomości politycznych, a za to wiele wiadomości lokalnych, przeplatanych sportem, modami, opisami podróży i wyznałkami. Pismo czyta 72,3 procent młodzieży, podczas gdy partyjną *Gazetę Krakowską* czyta tylko 28,8 procent, a centralny organ Związku Młodzieży Socjalistycznej *Sztandar Młodych* tylko 1,1 procent. Z ankiety wynika również, że tylko 25 procent młodzieży zagląda do wiadomości politycznych, reszta interesuje się wyłącznie sportem, techniką, podróżami i artykułami o treści naukowej.

Młodzież — pisze *Kobylański* — lubi humor i satyrę, lecz w dzisiejszej Polsce brak jest w ogóle takiego pisma. *Szpilkę* i *Karuzela* młodzieży w ogóle nie odpowiadają, bo nie zawierają ani humoru ani satyry. Ta ostatnia stoi na najniższym poziomie. Prasa nie nabyła żadnego doświadczenia i nie jest w stanie wywierać wpływu na młodzież.

Na marginesie artykułu *Kobylańskiego* należy dodać, iż wystarczy zapoznać się z bodaj jednym tylko egzemplarzem *Szpilkę*, by autorowi przyznać zupełną słusność. Ulubionymi karykaturami powtarzanymi do znudzenia są karykatury *Eisenhowera* i *Adenauera*. Za to wielkość partyjne i rządowe korzystają w demokracjach ludowych z pełnego immunitetu, a za karykaturę, karykatużysta i wydawca, poszliby na dłuższy czas na mokotowskie „wczasy”. Resztę pisma wypełniają rysunki przedstawiające pijaków, tarzających się po ziemi, oszustów i złodziei mienia publicznego no i nieodstępny milicjanta. Humor — jeśli w ogóle można mówić o humorze jest na najniższym poziomie. Całą stronę wypełniają nagrodzone wycinki z innych czasopism, fabrykowane rozmyślnie w tym celu, by tą drogą powiększyć liczbę czytelników. Nie potrafili wzbudzić zainteresowania wśród młodzieży nawet pornograficzne rysunki *Berezowskiej*.

O *Szpilkach* utarło się w Polsce zdanie, że stanowią makulaturę już wtedy gdy numer idzie do druku.

PRODUKCJA I ZUŻYCIE PAPIERU

Specjalna komisja ma m.i. przedstawić wnioski o zwiększenie eksportu tak cennego artykułu. W związku z tym należy zapoznać się z produkcją i zużyciem papieru. Cyfry

W. OPOLSKI

podane poniżej pochodzą z Rocznika statystycznego na rok 1959 (str. 102):

Dochód	
Produkcja	432,000 ton
Przywóz	8,300 „
Rozchód	
Eksport	29,200 ton
Na cele wydawnicze	103,700 „
Na wydawnictwa prasowe	77,600 „
Na wydawnictwa książkowe	24,000 „
Na zbytk w kraju	216,000 „

Według tego samego źródła ilość dzienników wynosiła w r. 1958 — 53, a czasopism 871. Globalny nakład wydawnictw w r. 1958 osiągnął 2 miliardy egzemplarzy, zaś w r. 1959 wzrósł o 825,000. Nakłady dzienników obracały się od 100 do 150,000.

WSTĘP DO AKCJI OSZCZĘDNOŚCIOWEJ

Komisja specjalna, która ma dopiero przedstawić swoje dezyderaty przesewi rady ministrów jeszcze się nie zebrała, a „Ruch”, który posiada monopol na rozprowadzanie dzienników i czasopism już rozpoczął likwidować rozrzutność w gospodarstwie papierem. A rozpoczął od kogo? Od *Tygodnika Powszechnego*, jedyne go tygodnika katolickiego w Kraju walczącego z trudnościami finansowymi. Już wcześniej pismo zwróciło się do społeczeństwa z apelem o zdobycie większej ilości subskrybentów, zaś w numerze z 3 lipca wskazało na taktykę „Ruchu” stosowaną wobec pisma przy sprzedaży *Tygodnika Powszechnego* w kioskach. Pismo przypominało, że na podstawie obowiązującego zarządzenia, „Ruch” uprawniony jest obniżyć zamówienia na następny numer tylko wówczas, jeśli zwroty przekraczają 15 procent. A jak postępuje „Ruch”? Oto przykłady:

W *Zabrzę* n.p. sprzedano poprzedniego numeru 155 egzemplarzy, a nowe zamówienie obniżono na 150; w *Gliwicach* sprzedano 336 a zamówiono tylko 300. W ogóle w sposób samowolny „Ruch” obniżył zamówienie dla śląska o 600 egzemplarzy, zaś w miejscowościach letniskowych pisma prawie otrzymać

MAKULATURY CZY DEWIZY?

nie można. A wiadomo, że *Tygodnikowi Powszechnemu* ustalono limit nakładu na 50,000 egzemplarzy.

GDZIE I JAKIE MOŻNA POCZYNIĆ OSZCZĘDNOŚCI?

Tona papieru drukarskiego kosztuje obecnie w Anglii około 58 funtów szterlingów. Gdyby więc komisja specjalna zaproponowała obcięcie przydziału papieru dla prasy partyjnej o 10,000 ton oraz dalsze 10,000 ton z niewyjaśnionej przez *Rocznik* statystyczny pozycji „na cele wydawnicze”, to z powiększonego eksportu skarb uzyskałby około miliona funtów, oczywiście tylko wtedy, gdyby papier sprzedano za walutę zachodnią, a nie za ruble, których stosunek do złotego ustala się odmiennie dla różnych transakcji handlowych.

Jednak komisja nie powinna ograniczyć swoich sugestii wyłącznie tylko do zmniejszenia przydziału papieru. Powinna również przedstawić wnioski o redukcje personelu redakcyjnego pism partyjnych. Nie jest bowiem tajemnicą, że 17 prowincjonalnych dzienników partyjnych zatrudnia przeszło 500 osób personelu redakcyjnego t.j. od 17 do 47 osób na pismo, zaś taką samą ilość zatrudniają różne pisma centralne jak: *Trybuna Ludu*, *Głos Pra-*

cy, *Sztandar Młodych*, *Gromada-Rolnik*, *Zielony Sztandar* i wiele innych, nie licząc obsady redakcyjnej wydawnictw miesiecznych, wielkiej ilości pism, wydawanych przez zakłady pracy oraz pism propagandowych wydawanych przez „*Polonię*”. Wystarczy przypomnieć, że personel redakcyjny *Trybuny Ludu* liczy przeszło 80 osób, z których większa część pracuje klejem i nożyczkami, korzystając z wiadomości przesłanych przez korespondentów PAP. i agencji prasowych państw demokracji ludowej.

Do tego dalsze oszczędności można łatwo poczynić przez likwidację całego szeregu korespondentów głównych pism centralnych, którzy korzystają z wygodnego życia w państwach kapitalistycznych Zachodu i pretendują wobec swych zachodnich kolegów, że reprezentują prasę niezależną.

Jakie dezyderaty wysunie komisja specjalna pokaże najbliższa przyszłość. Należy jednak wątpić, czy komitet centralny te dezyderaty ogłosi, bowiem ujawniając zmniejszenie przydziału papieru dla prasy partyjnej musiałby jednocześnie ujawnić nakłady i zwroty, a te szczegóły stanowią — jak już wspomniano wcześniej — ścisłą tajemnicę partii.

RZESZÓW MIASTEM AKADEMICKIM

Rzeszów otrzyma w najbliższym czasie pierwszą w tym mieście szkołę wyższą. Ma to być uczelnia nowego typu, przygotowująca do zawodu zarówno teoretycznie, jak i praktycznie. Uczelnia posiadać będzie trzy wydziały: budownictwa, mechaniczny i elektryczny.

(FEC)

WYNIKI EGZAMINÓW NA WYŻSZE UCZELNIE ZNOWU ZŁE

Jak podaje dziennik „*Życie Warszawy*”, wyniki tegorocznych egzaminów na wyższe uczelnie „przypominają poziom roku zeszłego: mniej więcej trzecia część nie zdała w ogóle egzaminu. N. politechnikach poziom tegoroczny był (sądząc z ilości „obłanych”) nieco lepszy, w szkołach rolniczych — z, na uniwersytetach — odwrotnie. To oczywiście niewiele jeszcze mówi o obrazie zdających, daje jednak pojęcie o tym, jak wielki jest procent ludzi, którzy nie posiadają nawet minimum kwalifikacji do podjęcia obranego przez siebie kierunku studiów.”

Skład społeczny przyjętych kandydatów jest następujący: „Na 100 zgłoszonych osób pochodzenia robotniczego

przyjęto 59,8 (w ub. roku — 56,3), chłopskiego — 56,8 (w zeszłym roku 54,1). Można więc przypuszczać, że poziom tej młodzieży nieco się poprawił, mimo, że zgłoszeń kandydatów ze środowisk robotniczych i chłopskich było w tym roku o 800 mniej.” (FEC)

JEDNA APTEKA NA 20.000 MIESZKAŃCÓW

Na jedną aptekę w Polsce przypada 15.300 mieszkańców. Są województwa, np. zielonogórskie, rzeszowskie czy olsztyńskie, w których apteka musi obsłużyć ponad 20.000 mieszkańców. Informując o tym warszawski „*Dziennik Ludowy*” (nr. 147) podnosi, że niedostateczna ilość aptek przysparza wiele kłopotów szczególnie mieszkańcom wsi i małych miast. „Aby dotrzeć do apteki czy też punktu aptecznego trzeba przemierzyć kilkanaście kilometrów.”

Okazuje się także — pisze „*Dziennik Ludowy*” — że bardzo często klient odchodzi z niej z przysłowiowym kwitkiem, ponieważ apteki traktowane są przez dystrybutorów tak samo, jak na przykład sklep z gwóźdźkami. Dostarczanie leków odbywa się przeważnie raz w miesiącu i dzieje się to niezależnie od wszelkich okoliczności.” (FEC)

DOKONCZENIE

Wiadomości społeczne

FRANCJA

NA DRODZE DO WŁASNEGO OŚRODKA WAKACYJNEGO

Jednym z naczelnych zadań Macierzy Szkolnej Wolnych Polaków w Belgii, jakie postawiono sobie jeszcze przed 8-miu laty, było urządzenie kolonii letnich dla dziatwy uczęszczającej do szkółek niepodległościowych. Do tego czynnika wychowawczego przywiązywano i przywiązuje się olbrzymią wagę. W ciągu 15-tu do 20-tu dni dziecko przebywa w środowisku polskim, zmuszone jest mówić po polsku. Ogniska i barwne wieczorowe pogadanki przynoszą je do Polski. Poznaje piękno i bogactwo kraju, miasta, przyrodę, zabytki historyczne, baśnie i legendy kraju ojczystego. Ten układ programu bardzo odpowiada dziatwie, która z utęsknieniem oczekuje następnego roku.

W bieżącym roku Zarząd Macierzy zmuszony był zrezygnować z urządzenia kolonii letnich. Tylko część dzieci spędziła wakacje w Vaudricourt we Francji. Przyczyną tego była niemożność znalezienia w Belgii odpowiedniego lokalu.

Zarząd Macierzy głęboko jednak wierzy, że w przyszłym roku kolonia odbędzie się we własnym domu. W dniu 8 sierpnia br. podpisano bowiem umowę kupna-sprzedaży i wpłacono 100.000 fr. belg. za obiekt położony w sercu Arden, między Liège a Spa, w Comblant-Tour, zaledwie 37 km od Liège. Jest to dom dwupiętrowy, położony w środku starego parku przylegającego do brzegu rzeki Ourthe, posiadający dużą salę jadalną, sypialnie, obok jest mały domek i ciepłarnia. Dom pomieścić może około 200 dzieci. Jest tu miejsce na gry i zabawy, jest ogród warzywny i owocowy, jest także kąpiel dla starszych — oddzielny domek. W pobliżu są piękne lasy, miejsce wycieczek i spacerów, jest także woda do kąpeli. Obok stacja kolejowa i dobrze utrzymana biegnąca wzdłuż rzeki droga — dla automobilistów. Słowem, jest wszystko, tylko zapłacenie całej sumy za dom i jego urządzenie wymagają będzie jeszcze dużego wysiłku. Istnieje nawet możliwość powiększenia parku i rozbudowy domu; zależy to tylko od ofiarności Polonii belgijskiej. I o to właśnie ofiarności kierownictwo Macierzy apeluje. Dzieło, na które obecnie zdobywa się niezamożna Polonia belgijska, jest godne podziwu i pełnego poparcia. Chodzi przecież w tym wypadku o ośrodek walki o duszę polskiego dziecka i o kąt wypoczynkowy dla młodzieży i starszych.

Ufamy w zrozumienie naszych braci górników i garstki intelektualistów. Wierzmy mimo przykrych doświadczeń poprzednich, że w tym wypadku uzyskamy także pomoc skądinąd. Na nasze apele już zaczyna wpływać wprawdzie drobne, jednak dla nas cenne dary, za które gorąco dziękujemy. Wpłynęły z Kanady od p. Z. Ruebenbauerowej (5 dol.), p. Kr. Missalji (50 dol.), ze Stanów Zjednoczonych od W. Kamińskiego (5 dol.), A. Gawlikowskiego (5 dol.), z Anglii od Fr. Wilka (500 fr. belg.).

Ale to dopiero początek. Jeśli to wielkie dzieło Macierz doprowadzi do szczęśliwego końca, będzie to najtrwalszym pomnikiem polskiego Millennium w Belgii. Będzie bezsprzecznie zasługą wielkiego zrozumienia i ofiarności Polonii belgijskiej, niezłomnej woli, wielkiej pracy garstki członków zarządów Macierzy, pomocy braci zagranicą, a w dużym stopniu — zasługą znanych i oddanych sprawie polskiej działaczy po-

lonijnych: ks. K. Kubsza, rektora Polskiej Misji Katolickiej, i p. J. Rzemienieckiego.

Napewno nie w Belgii ks. Rektor Kubsz rozpoczął swą pracę społeczną. Dobrze on już był znany setkom Polaków z okresu ostatniej wojny w okupowanej Francji, którym z narażeniem życia przychodził z pomocą materialną i moralną. Od 13 lat organizuje i kieruje życiem religijnym Polaków w Belgii. Nie szczędzi ni czasu ni trudu i na równi z pracą duszpasterską z niewyczerpanym zapalem oddaje się pracy społecznej, szczególnie na odcinku wychowawczo-szkolnym. Zaś p. Rzemieniecki wolną chwilę dnia i wieczory od 8-miu lat poświęca bezinteresownej pracy w zarządach Macierzy. Niech te słowa będą tedy uznaniem i podzięką dla nich i dla ich ofiarnej Polonii. ...W. W.

NOWY ROK SZKOLNY

Czysto i wiernie, chciwie jak skarb Chowań we krwi i w myśli, W słowie i w sercu, na jawie, w snach Pamiątkę najdroższą: język ojczysty!

Tak istotnie, język ojczysty to najdroższa pamiątka. Toteż z okazji początku roku szkolnego Niezależny Związek Nauczycielstwa Polskiego we Francji zwraca się do rodziców mających dzieci w wieku szkolnym o przekazanie im tej najdroższej i jedynej pamiątki języka ojczystego.

Jednocześnie apelujemy do naczelnych organizacji polskich we Francji, duchowieństwa polskiego, prasy polskiej i wszystkich Rodaków o zachęcenie rodziców-Polaków, czy też pochodzenia polskiego, o posyłanie swych dzieci na lekcje języka ojczystego, które odbywają się bezpłatnie w lokalach szkół francuskich — pod kierownictwem wykwalifikowanych nauczycieli.

Aby dziecko urodzone na emigracji czuło się z ducha Polakiem — musi wychowywać się w atmosferze polskiego domu, polskiej szkoły i polskich tradycji. Im wcześniej zacznie się uczyć języka ojczystego i go pogłębiać, tym prędzej i lepiej go opanuje.

Polskie czy też pochodzenia polskiego dziecko, choć urodzone na obczyźnie, winno obowiązkowo posiadać pełną świadomość przynależności do mowy i wiary swych ojców. Aby być szanowanym w środowisku, w którym żyjemy na obczyźnie, musimy zachować wierność dla przeszłości, zachować i przekazać dzieciom język ojczysty, kulturę i wiadomość narodową.

I to jest nasz święty obowiązek, od którego nie wolno nam się uchylać. Język bowiem ojczysty — to największy skarb każdego narodu.

Zarząd Główny Niezależnego Związku Nauczycielstwa Polskiego we Francji

PRZED MIESIĄCEM INWALIDY

Już od wielu lat miesiąc październik we Francji jest miesiącem polskiego inwalidy wojennego. Zbiórka przeprowadzana w tym miesiącu przez Polski Związek Inwalidów Wojennych jest podstawą pomocy materialnej udzielanej przez Związek swym członkom znajdującym się w potrzebie.

Poniżej drukujemy apel Związku do polskiego społeczeństwa we Francji, go-

rać go popierając wobec naszych czytelników. Red.

Drodzy i Szanowni Rodacy,

Zawiadamiamy uprzejmie, że jak co roku w październiku mamy „Miesiąc Inwalidy“.

W związku z tą akcją zbiorczą, wszczętą przez Polski Związek Inwalidów wojennych PSZ we Francji na rzecz najbardziej potrzebujących polskich inwalidów — pragniemy tą drogą dać wyraz naszej głębokiej wdzięczności za pamięć, pomoc i niezmienną życzliwość, jaką zawsze okazujecie naszym kolegom.

W trosce o tych żołnierzy-inwalidów, którzy w służbie Polsce stracili zdrowie, a często są dotknięci stałym kalectwem — zwracamy się do Was, Drodzy Rodacy, z gorącym apelem o wydatną pomoc materialną. Wierzmy, że tak jak w latach poprzednich, nie zapomnicie o nich i w tym roku, przesyłając ofiarę na jakąś Was stać.

Pamiętajcie, że na 1200 inwalidów wojennych zarejestrowanych w naszym Związku — ponad 500 potrzebuje stałej pomocy materialnej. Od wyniku akcji zbiorczej zależy rozmiar i wysokość pomocy, jaką potrzebujący inwalidzi otrzymają w ciągu całego roku.

Pragniemy przy tym nadmienić, że Związek nasz nie posiada żadnego majątku ani innych stałych dochodów. Dlatego i lat borykamy się z trudnościami materialnymi a tym samym nie zdołaliśmy osiągnąć naszego celu, by w ten czy inny sposób zabezpieczyć byt inwalidom wojennym nie mającym praw do żadnej renty, jak polscy inwalidzi z kampanii wrześniowej, żołnierze Armii Krajowej, deportowani do niemieckich obozów koncentracyjnych, a wreszcie inwalidzi z pierwszej wojny światowej. Ta kategoria inwalidów pozostawiona jest na lasce losu — pod opieką naszego Związku. Dlatego pomoc materialna Drogich Rodaków jest dla nich prawdziwym zbawieniem.

Jesteśmy głęboko przekonani, że nasz apel spotka się z należyтым zrozumieniem. Uprzejmie prosimy o przesyłanie ofiar na konto pocztowe naszego Związku: C. C. Paris 79 13 93, Union des Mutiles de Guerre Polonais en France, 15, rue St. Gilles, Paris 3-e, z zaznaczeniem „na Miesiąc Inwalidy“.

Z góry serdecznie dziękujemy.

Zarząd P. Z. I. W. we Francji

Z ŻYCIA POLSKIEJ YMCA

Wśród wielu polskich organizacji we Francji kładących nacisk na działalność kulturalno-oświatową, należy specjalnie podkreślić prace w tej dziedzinie polskiej YMCA.

W ostatnich miesiącach w gościnnym i miłym lokalu YMCA przy 13, Av. Raymond Poincaré, w ramach wieczorków klubowych Koła Pawła Supera i Klubu Inżynierów Polskiej YMCA odbyło się szereg ciekawych i udanych imprez i odczytów, spośród których wymienić należy odczyt prof. W. Wagnera pt. „Wrażenie z pobytu w Senegal, Maroku i Algerze“ oraz odczyt inż. W. Szaławy pt. „Tunel pod Kanałem la Manche“. Ten ostatni odczyt był zilustrowany pracami rysunkowym tego aktualnego od 100 lat zagadnienia, które stanowiło temat pracy dyplomowej na Wydziale Architektury prelegenta.

W ramach akcji kulturalno-oświatowej inżynierowie Offmański i Budzko wyświetlali bardzo piękny cykl zdjęć kolorowych z Bretanii i Hiszpanii. Wreszcie w połowie lipca br. zamknięta została wystawa fotografii abstrakcyjnej, która cieszyła się bardzo dużym powodzeniem.

AKCJA POMOCY CHORYM W KRAJU

W dalszym ciągu napływają do nas listy z Kraju z prośbą o pomoc lekarską. Poniżej drukujemy dwa z nich.

Kochani Rodacy, Jako stary weteran z pierwszej i drugiej wojny światowej zwracam się do Was o pomoc w postaci leków, których zasadniczo brak jest w Polsce, a mianowicie Khellin w zastrzykach, Aureomycinum tabl., Vitaminum B complex, Inj. Cortizon (A.C.T.H.) i Vitaminum B. 12.

Przebywając w obozach w Kozielsku, Murmańsku, na półwyspie Kola, Archangielsku i innych tułaczkach po świecie, jestem bardzo osłabiony — mam zwyrodnienie mięśnia sercowego na skutek czego mam częste ataki, schorzenie naczyń wieńcowych serca,

rozdemę płuc, astmę oskrzelową i chorobę wrzodową żołądka i dwunastnicy. Zaznaczam przy tym, że do Kraju wróciłem w listopadzie 1948 r. Od tego czasu pracuję w jednej z instytucji służby zdrowia w charakterze felczera. Z góry serdecznie dziękuję i pozostaję z głębokim poważaniem.

Radom J. S.

Szanowni Państwo,

Bardzo mi przykro, że jestem zmuszony zwracać się do Was o pomoc, a mianowicie o leki, gdyż od dłuższego czasu choruję na serce; leczylem się w różnych szpitalach i nie ma żadnej poprawy, tak że nie mogę pracować. Jestem zupełnie wyczerpany. Mam dopiero 36 lat, posiadam żonę i dzieci, które przedtem utrzymywałem z moich rąk pracy. Leczę się różnymi środkami — bez skutku. Obecnie lekarze proponują mi 3 leki: Vitaminy B 12, Cedilaniol i Bellerigall, których w Kraju nie można dostać. I dlatego zwracam się do Was, Drodzy Rodacy, z serdeczną o nie prośbą.

Z góry dziękuję i pozostaję z poważaniem.

Wrocław J. S.

Na pomoc chorym w Kraju wpłacili: K. Rogoziński, Bussac-Foret 100 NF; J. Jarowski, Ruelle, 28,90 NF. Serdecznie dziękujemy.

Z W. BRYTANII

HALIFAX

10-LECIE SPK I OBCHÓD ŚWIĘTA ŻOŁNIERZA

Ośrodek kombatancki w Halifax połączył w tym roku obchód święta Żołnierza z własnym świętem 10-lecia istnienia Koła SPK. Uroczystość rozpoczęła Msza św., celebrowaną przez ks. kan. Tadeusza Gaika.

Akademia, zagajona przez prez. J. Barszcza, odbyła się w ładnej sali YMCA, gromadząc 270 osób, gdzie gen. dyw. Stanisław Kopański, wygłosił odczyt o historycznym znaczeniu bitwy warszawskiej, a na zakończenie zaakcentował konieczność ustawicznego służenia celom, dla których pozostaliśmy na uchodźstwie. W części artystycznej wystąpił bardzo dobry 13-osobowy Amatorski Zespół Artystyczny z Leeds pod kierownictwem inż. Stanisława Polankiewicza, dając bogaty program.

Uzpełniły go występy sił miejscowych: 7-letni Henio Herman w wierszu „Marsz Hallera“, żywy obraz „Po bitwie“ — pp. J. Ozimek i J. Zalesiński z symem, koncert fortepianowy Krysii Jachacówny, piosenka p. E. Stęchło — „Tylko tam“, wianka pieśni żołnierskich odegrana na akordeonie przez Rysia Kulakę i śpiew p. Z. Sinickiego — „Czerwone maki“ i „Gdyby orłem być“. Szczególnie jednak brawa zebrała 4-letnia Ewunia Kurtzel za piosenkę „Przy piechocie fajno jest“. Efektowne dekoracje sceny wykonał p. S. Topa.

W obiedzie koleżeńskim 10-lecia, wydanym przez Koło SPK, wzięło udział 60 osób. Honorowym gościem był gen. S. Kopański i towarzyszący mu ks. kan. T. Gaik i dr. J. Jachacy. Gospodarzem przyjęcia i organizatorem imprezy był p. A. Szpejkowski.

Podczas akademii zebrano z wolnych datków na miejscową szkołę polską \$11.10.0, a SPK z okazji swego jubileuszu przeznaczyło na ten cel dalszych \$20.0.0.

KEIGHLEY

PIWKO POD PORTRETEM WELLINGTONA

Niewielkie Koło SPK w Keighley, prowadzone przez p. Mieczysława Krawcowskiego, próbuje rozwiązać na nowy sposób problem trudności lokalowych. Zarząd Koła wszedł w porozumienie z właścicielem tutejszego Wellington Hotel, gdzie podnajmuje każdą sobotę ładną salę na piętrze, organizując polskie wieczory towarzyskie, z muzyką, tańcem i śpiewem, oczywiście przy dobrze zaopatrzonym barze, za którym stoi p. Jan Elsner lub Władysław Hołub. Z wielkiego portretu patrzy na te polskie zebrania feldmarszałek Wellington, którego wojska walczyły niegdyś w Hiszpanii z Legią Nadwiślańską i polskimi lekkokonnymi. Dziś inni polscy kombatanctani, brytyjcyce towarzysze broni z ostatniej wojny, popijają pod jego portretem angielskie piwo, zapijając gorzcy sojusznika opuszczonego przez W. Brytanię.

BRADFORD

OBCHÓD ŚWIĘTA ŻOŁNIERZA

Polacy w Bradford uczcili 40 rocznicę zwycięskiej bitwy warszawskiej solenną Mszą św., celebrowaną przez ks. kan. E. Chowańca w miejscowym polskim kościele.

Wieczorem w wielkiej sali Co-operative Hall, przy udziale 400 osób, zarząd Koła SPK zorganizował akademie, którą zaszczycił swoim udziałem gen. S. Sosabowski.

W przemówieniu powitalnym prezes Koła mjr. M. Czechowicz podkreślił potrójną podstawę tegorocznego święta żołnierza: 40-lecie bitwy warszawskiej, 550-lecie tryumfu oręża polskiego opd Grunwaldem i 350-lecie znakomitego zwycięstwa hetmana Żółkiewskiego pod Kłuszynem, czego wynikiem było zajęcie Moskwy.

Gen. S. Sosabowski w okolicznościowym przemówieniu szczególną uwagę położył na poświęceniu bezimiennych mas żołnierskiej, której zasługą są wszelkie wielkie zwycięstwa. Bez ducha męstwa, bez zbiorowej woli zwycięstwa u żołnierzy — nie byłoby zwycięstw. A cnoty te wypływają z ducha ideałów o które żołnierze walczy, w których obrońcie chwytają ręką karabin.

W części artystycznej wystąpił dobry zespół orkiestry kombatanckiej pod batutą p. J. Kaisera dając na początku „Marsza generalskiego“, a później wiankę melodii żołnierskiej. P. Daniela Jasnocha deklamowała wiersz o emigracyjnej doli żołnierskiej, a zespół dzieci z prywatnej szkoły tańca p. Buriaka dał szereg tańców indywidualnych i zbiorowych.

HUDDERSFIELD

ZAMIAST AKADEMII WYJAZD DO MANCHESTER

Zamiast dorocznej akademii święta Żołnierza, organizowanej tradycyjnie przez Koło SPK, w tym roku zarząd Koła postanowił zorganizować zbiorową wycieczkę na wielką akademię i manifestację w Manchester. Przedsięwzięcie uwieńczył pełny sukces, gdyż na uroczystości manchesterkie pojechał do Huddersfield pełen autobus kombatanctów, kilkudziesiąt dalszych osób wybrało się samochodami. W sumie pojechało do Manchester prawie sto osób. Wyprawę organizował prezes Koła mgr. Stefan Osuchowski.

LONDYN

ZACZAROWANE NOCE

„Teatr dla Dzieci“ wystawia — po dłuższej przerwie — sztukę M. Lisiewicza pt.: „Zaczarowane noce“ czyli opowieść o młodym Chopinie. Przedstawienie odbędzie się w niedzielę 6-go i 13-go listopada w Lyric Opera House, Hammersmith, W.6. Reżyseria spoczywa w rękach R. Kowalewskiej, oprawa sceniczna — T. Orłowicz, kierownictwo muzyczne — J. Kropiwnicki, kostiumy W. Baczyńska. Zpa zespołem tanecznym i Chórem Chopina w sztuce występuje 28 postaci scenicznych.

LIMERYK



Spotkały się na Earls Courcie dwie Panie.
Zacząło się, rzecz jasna, szeptanie:
— „Wyobraź sobie,
że w HASKOBIE
Jest, mimo wszystko, najtaniej!“.

„PRZEGLĄD ZACHODNI“

miesięcznik
Zw. Polskich Ziemi Zachodnich poświęcony zagadnieniom polsko-niemieckim i Ziemiom Zachodnim.
Roczna prenumerata 18/- lub 3 dolary.
ZWIĄZEK
POLSKICH ZIEMI ZACHODNICH
20, Princes Gate, London, S. W. 7.

ROYAL FESTIVAL HALL

Pod Protektorem Generała Wł. Andersa KOŁO LONDYŃSKIE ZWIĄZKU ROLNIKÓW POLSKICH

urządza w piątek 23 września

TRADYCYJNE DOŻYŃKI

Po obrzędzie dożynkowym w układzie Ryszarda Kiersnowskiego, wykonanym przez zespoły taneczne: „Syrenka“, „Kujawy“, „Narocz“, Polska Y.M.C.A., „Kresy“, Im. Oskara Kolberga i Kapeli Ludowej P. Wojciechowskiego — całonocną zabawę taneczną do godziny 5.00 rano.

Dwie orkiestry: F. Norberta i Jacques Vallez — Starosta: Z. Kozerski — Przewodnica: Hanka Walton — Kierownictwo muzyczne: P. Wojciechowski — Dekoracja sal: J. Smosarski. Początek o godz. 11 wieczór. Wstęp 30 sh. łącznie z kolacją. Rezerwowanie stolów 2sh. 6d. od osoby.

Stroje wieczorowe, wizytowe.

Zaproszenia, Bilety i rezerwowanie stolów w: Ognisku, Orbisie, Bibliotece S.P.K. oraz w Związku Rolników — 54, Denbigh Street, S. W. 1. Tel. VICTORIA 1196

TYTUS KOMARNICKI

Zachód i wschód w prawie narodów

NOWA praca prof. Dr. Marka St. Korowicza, byłego profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego, a obecnie profesora międzynarodowego prawa i organizacji we Fletcher School of Law and Diplomacy, stanowiącej aneks Uniwersytetu Harvardzkiego, zatytułowana „Introduction to International Law” i wydana przez znaną firmę wydawniczą holenderską Martinus Nijhoff w Hadze, zainteresować winna nie tylko ciśniejsze kółka specjalistów, ale też i tych wszystkich, którzy interesują się współczesnym życiem międzynarodowym, zadając sobie nieraz pytanie, w jakim stopniu dziś jeszcze, w okresie t.zw. „Power Politics” prawo międzynarodowe reguluje stosunki państwowe. Już z tego względu książkę tę należy się omówienie na łamach „Orla Białego” a do tego dochodzi wzgląd drugi: wszyscy wiedzą, jak trudnych warunkach pracują na emigracji uczeni polscy, zwłaszcza starszego pokolenia, więc wydanie tak potężnego tomu jest dużym wyczynem i owocem wielu poświęceń.

Profesor Korowicz jest autorem około 40 prac wydanych w językach polskim, angielskim, francuskim i niemieckim, a z pomiędzy jego prac teoretycznych wymienić należy w pierwszym rzędzie wydane zaraz po wojnie studium w języku francuskim nad suwerennością państwową („La Souveraineté des Etats et l'Avenir du Droit International”, Paris, 1945), zaś z pośród prac szczególnie interesujących Polaków pierwsze miejsce dać należy źródłowemu studium „Górnośląska Ochrona Mniejszości (1922-1937) na tle stosunków narodowościowych”, Katowice, 1938. Jest to praca tak wyczerpująco przedstawiająca to zagadnienie, że w czasie wojny niemieckie władze zaleciły wydanie jej w języku niemieckim, oczywiście, nie pytając się autora o pozwolenie.

Nowe dzieło prof. Korowicza odbiega pod wielu względami od analogicznych prac uczonych Zachodu, bo w o wiele większym stopniu niż te ostatnie uwzględnia teorię i praktykę sowiecką prawa międzynarodowego, uwidaczniając tym samym tę wielką schyzmę w prawie międzynarodowym, wywołaną przez wprowadzenie przez komunistów zupełnie innej treści do definicji klasycznego prawa narodów i nauki o stosunkach międzynarodowych. To też Rozdział IV zatytułowany „Sowiecka Koncepcja Pojęcia Suwerenności i Prawa Międzynarodowego” pozwoli czytelnikowi zorientować się w tym jak wielką przepaść dzieli Zachód od Wschodu pod względem pojęć prawnych i na jak kruchych podstawach opiera się tak zwana „koegzystencja” między światem określonym jako kapitalistyczny i światem komunistycznym. Według Korowicza prawo międzynarodowe sowieckie jest próbą pogodzenia marksistowskiej doktryny ekonomicznego determinizmu i jego ideologicznej superstruktury z prawem międzynarodowym. Próba ta daje w rezultacie zupełnie odmienny system prawa narodów. Na podstawie dokładnej analizy komunistycznych konstytucji, ustaw, dekretów i praktyki, autor dochodzi do wniosku, że terminy takie jak prawo, państwo, sprawiedliwość, znaczą nieraz coś zupełnie odwrotnego w stosunku do terminów używanych na Zachodzie. Prawo w pojęciu sowieckim jest upolitycznione, jest nowym systemem prawa wy-

wodzącym się z zupełnie innego pnia niż prawo burżuazyjne. Prawo sowieckie jest więc instrumentem polityki państwa sowieckiego, jest narzędziem likwidacji kapitalizmu mającym zapewnić tryumf komunizmu na całym świecie, jest ono więc prawem klasowym, wyraża linię polityczną monopartii. Stąd wymiar sprawiedliwości jest ściśle podporządkowany racji stanu sowieckiej. Jesteśmy tu na przeciwnym biegunie teorii podziału władz, która od XVIII wieku w dużym stopniu utrzymuje się na Zachodzie (może najkłaśniej to występuje w Stanach Zjednoczonych). Przypomnieć warto, że nawet w Carskiej Rosji niezależność sądów od administracji była na ogół przestrzegana, tak że przewrót komunistyczny oddalił jeszcze bardziej Rosję od Zachodu.

Również zasada równości w ustroju komunistycznym w praktyce nie istnieje, gdyż ustrój ten jest oparty na zasadzie nierówności, stąd prawo do likwidacji nie tylko całych klas społecznych, ale i tych wszystkich, którzy odchylają się od linii ustanowionej przez monopartię, są zaliczeni do wrogów ludu.

Wiemy też dobrze, z własnego doświadczenia, co znaczy „demokracja” w ustroju komunistycznym. Nie jest to demokracja według klasycznego określenia Lincolna z 1863 roku: „Government of the people, by the people, for the people”. Jest to więc nie budowa od podstawy do szczytu, tak jak to jest na Zachodzie, ale od szczytu do podstawy, gdyż wszystko jest decydowane na górze, w łonie sowieckiej oligarchii, gdyż „sowiecka władza jest wcieleniem prawdziwej demokracji”. Sowiety wrócili do teorii absolutnej suwerenności państwa (Leviatan Hobbesa), co w praktyce uniemożliwia oparcie stosunków międzynarodowych na trwałych zasadach prawa. Łączy się to z rolą misyjną, jaką sobie aroguje Związek Sowiecki, z czego wynika teoria prymatu państwa sowieckiego jako najidealniejszego wcielenia prawdziwej demokracji. Jak w takich warunkach można oczekiwać od Sowieta poszanowania suwerenności innych państw? Zgodnie z tą teorią „Związek Sowiecki ma prawo żądać przesunięcia na swoją korzyść granic z sąsiednimi państwami, jeżeli w jego pojęciu te państwa zagrażają jego suwerenności”. Oczywiście, że w takich warunkach tak klasyczny sposób rozwiązania sporów międzynarodowych jak arbitraż (nie mówiąc już o sądownictwie międzynarodowym) staje się zupełnie niemożliwy, bo któż mógłby być arbitrem w sporze między państwem sowieckim a państwem kapitalistycznym? Chyba ani! Jak to kiedyś dowcipnie powiedział Litwinow.

Rozwój stosunków międzynarodowych od czasu II wojny światowej staje się bardziej zrozumiały w świetle tej wielkiej schyzmy w prawie narodów.

Od czasu urzędowania na Śląsku prof. Korowicz stał się, niewątpliwie, bardzo wybitnym specjalistą od zagadnień mniejszościowych, którym prawo narodów w okresie międzywojennym poświęcało tyle uwagi. Zagadnieniem tym jest poświęcony rozdział VII jego książki zatytułowany „Podmioty prawa narodów poza niepodległymi państwami i jednostkami”. Zajmuje się on w nim definicją narodu, kryteriami narodowości (obiektywne czy subiektywne — wiemy jak wielką to odegrało swego czasu rolę przy kwalifikowaniu uczniów do szkół mniejszościowych) i poddaje bardzo ostrej krytyce przedwojenną ochronę mniejszości, której podlegały tylko państwa zaliczone do

II kategorii, choć największe tragedie w tym zakresie rozegrały się za sprawą mocarstw totalistycznych, nie poddanych kontroli organów międzynarodowych. Korowicz stwierdza, że mniejszości „terytorialne” to znaczy nie rozsięte na terytorium całego państwa lecz skupione na jednym jego odcinku, mogą stanowić bardzo poważne niebezpieczeństwo dla państwa narodowościowego, jeżeli mniejszość ta mieszka na terytorium przylegającym do państwa, aragującymi sobie specjalne tytuły do opieki nad tą mniejszością. W takim wypadku jedynym rozwiązaniem może być przesunięcie ludności, które wprawdzie pociąga za sobą pewne tragedie indywidualne, jednakże pod względem politycznym pozwala zlikwidować zastarzałe konflikty i torować drogę do normalnych, sąsiedzkich stosunków między sąsiadującymi państwami. Winę za takie radykalne i przykre operacje chirurgiczne ponosi przede wszystkim przerosł nacjonalizm, który uniemożliwia zamieszkiwanie na jednym terenie dwóch narodowości. Zdaniem profesora Korowicza „w ten sposób utrzymanie stosunków pokojowych między państwami zostało uznane za mające większą wartość, niż prawo jednostki decydowania o swym własnym losie i swoim życiu osobistym”. Zresztą, dodać należy, czyż nie jest to jednym z zasadniczych przejawów życia współczesnego, gdzie w sprawach wielkiej wagi jednostka jest stale poświęcana na rzecz interesów zbiorowych. Ci, którzy teraz wystę-

pują w obronie pokrzywdzonych w konsekwencji przesunięć ludnościowych winni zastanowić się nad tym, czy to nie jest konsekwencją długiego szeregu błędów polityki państwa, dla którego mniejszości były tylko instrumentem w polityce imperialistycznej.

Zagadnieniu roli i sytuacji jednostki w prawie narodów autor poświęca Rozdział VIII zatytułowany „Jednostka jako podmiot prawa narodów”. Wprawdzie autor przychyli się do tych autorów, którzy twierdzą, że jednostka nie jest przedmiotem prawa narodów a winna w dalszym rozwoju prawa narodów stawać się jego podmiotem, to jednak nie ukrywa on tych trudności, które piętrzą się na tej drodze. Wszystkie państwa sprzeciwiają się do dopuszczenia jednostki do występowania jako strona przed forum międzynarodowym. Wyłom w tej zasadzie został dokonany w okresie międzywojennym na ograniczonym terytorium plebiscytowym Górnośląska (1922—1937) oraz ostatnio w ramach Wspólnoty Europejskiej, ale stąd daleko jest do uznania prawa jednostki do roli strony przed instancjami międzynarodowymi, jako zasady ogólnej. Nie do pomyślenia jest to w systemie komunistycznym prawa narodów.

Dzieło prof. Korowicza, jasne w wykładzie, bogate w treści, ujęte w duchu najlepszych tradycji prawniczych Zachodu, stanowi, niewątpliwie bardzo poważny wkład do literatury naukowej, będąc jeszcze jednym dowodem żywotności naszej emigracji i jej związków z myślą Zachodu.

RECENZJA

KOTŁOWISKO W KONGO...

(Dokończenie ze str. 1)

lat temu pod Paryżem i już w okresie Hiszpańskiej Wojny Domowej był czynnym i wydajnym agentem Kominternu. Był blisko związany z Brygadami Międzynarodowymi. Ostatnio wydał w Tunisie prokomunistyczne pismo. W Léopoldville wypłynął na powierzchnię z początkiem lata. Nie jest on ani jedynym ani najbardziej egzotycznym z białych akolitów Lumumby. Pomoc ta nie znaczy bynajmniej, iż sowieciarze darzą pseudo-premiera specjalną a tendencją. Jak się zdaje uważany on jest przez nich, i słusznie, za nieodpowiedzialnego i historycznego barbarzyńcę dobrego li-tylko do siania zamętu fazy przygotowawczej. Znacznie poważniejszym kandydatem na Sowieckiego Hachę w Kongo jest Antoine Gizenga, obecny wicepremier. Stosunkowo mało co się o nim wie poza tym, iż w okresie Konferencji Okrągłej Stołu w Brukseli występował jako przewodniczący „Parti Solidaire Africain” i w tymże okresie odwiedził Pragę. I on i jego zastępca Cléophas Kamitatu robili dziwne wrażenie na konferencji. Wśród ekspansywnych, wylewnych, wielosłownych i bardzo uprzejmych delegatów z Kongo odcinali się mrukiwością, skrytością i ciągłym oglądaniem się za ramię. W perspektywie ostatnich miesięcy jasnym jest, iż bez względu na to czy Gizenga jest członkiem Partii czy nie, jest on niewątpliwie „aparatchikiem”.

Obiektem bezpośrednim sowieckiej intrygi w Kongo jest opanowanie wielkiej bazy wojskowej w Kamina, dalszymi celami są utworzenie powolnego sobie rządu „ludowo-demokratycznego” i zamienienie kraju w wielką wypadową bazę sowiecką na całą Afrykę. Ale dla urzeczywistnienia tych zamierzeń sowieciarze muszą po pierwsze zneutralizować obcą konkurencję a po drugie doprowadzić do jakichkolwiek decydujących kro-

ków wstępnych, tak w Nowym Jorku jak w terenie, przed nadejściem pory deszczowej. Zacznie się ona lada dzień a wówczas drogi zamieniają się w strumienie płynnego błota, loty są zawieszane przez warunki atmosferyczne całymi tygodniami a rzeki wzbierają i występują z brzegów, co utrudnia a często uniemożliwia nawigację. Serce Afryki pogrąży się w mokry Hades wzbierających soków biologicznych natury i ludzka polityka ulega częściowemu, ale bardzo skutecznemu zawieszeniu. A po deszczach nie wiadomo którądy skoczy kot, a raczej lampart.

Czesław Jeśman

KRZYŻÓWKA NR 385/60

Znaczenie wyrazów

Poziome: 1) miał karczmę w Czehrynie, w której Skrzetuski poznał Zagłobę; 3) tytuł ostatniej książki polskiej o malarstwie omówionej w „Orle Białym”; 5) alarm; 8) miejsce kaźni; 10) bawidamek (wspak); 11) np. Polak dla Polaka; 12) mistrz krzyżacki, symbol podstępnej walki (dwa słowa); 15) tłum; 16) na to można zapać; 18) ptak; 20) gra w karty; 21) dotyka cie, gdyś ją stracił; 22) mieszkaniec Azji i Afryki; 25) nie istnieje bez muzyki; 26) próba; 27) zamek na Sycylii, odznaczył się tam Hrabia (dwa słowa).

Pionowe: 1) na drodze do Damasku siedział tam diabeł; 2) określona przesłrzen; 4) za niego podał się Chmielnicki Skrzetuskiemu (wspak); 6) oficer sprawujący strażę; 7) ozdoba głowy (wspak); 9) znoj.; 10) stosunek zmniejszenia; 13) nie zajął; 14) nie tak jak należy; 15) zdradził Chmielnickiego i wziął go na arkan; 16) biblijne stworzenie, tytuł dzieła Hobbesa; 17) łańcuch górski; 19) z kory, z tyka; 23) mieszkaniec piekiel (wspak); 24) bywają uroczce (wspak).

PLOTKI ODRZ...

„Prospector” na stoisku wystawowym wygląda jak skrzyżowanie pisklęcia z taksówką. Na rozbiegu przypomina czupurnego koguta. W powietrzu nabiera powagi nie tracąc nic z zuchowatości. Nieduże to a pakowne. Zabiera prócz pilota pięciu pasażerów, lub ładunek sięgający czterech ton. Ma zasięg ponad czterystu mil, szybkość handlową 140 mil na godzinę.

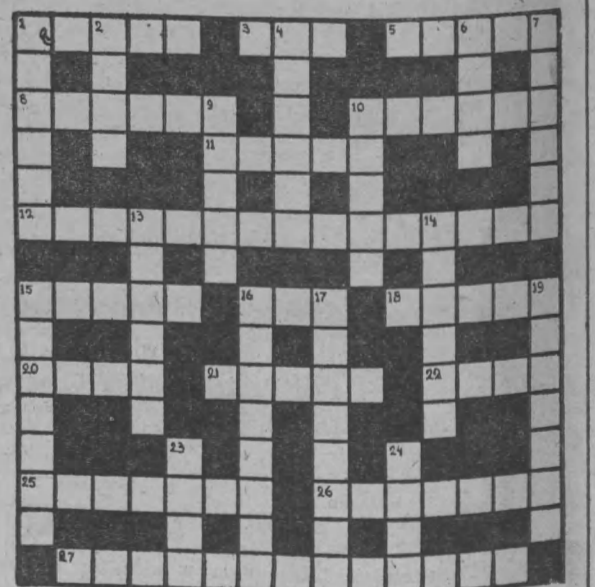
Ile zużywa paliwa i ile kosztuje napisalbyśmy chętnie gdyby nie obyczaj dziennikarskie, które zakazują tego rodzaju informację umieszczać w reportażach, przeznaczając dla nich miejsce w ramach ogłoszeniowych. Mogę jednak zdradzić, że cena uniwersalnego samolotku nie przekracza ceny dwóch Bentleyów. Nie wiem czy który z czytelników kupi go natychmiast na prywatny użytek wakacyjny, sądzę jednak, że warto o nim wiedzieć z dwóch względów.

O tzw. „małych samolotach” myśli się zwykle jako o luksusowej zabawce ludzi bogatych, zapominając o tym ile nieocenionych usług oddaje rolnictwu, lekarzom, strażom leśnej i... szkolnictwu. Oczywiście nie w krajach o tak małej powierzchni i dobrej komunikacji jak wyspy brytyjskie, lecz na bezdrożach Australii, Płd. Ameryki, Afryki lub na archipelagach polinezyjskich. W północnej Kanadzie nauczyciele objeżdżają swoich uczniów w samotnych osiedlach jedno- lub kilkurodzinnych, zadając lekcje i przepytując dzieci, które inaczej nigdy nie mogłyby chodzić do szkoły, gdyż najbliższa znajduje się o setki mil od ich domu. Dzięki samolotom nie ucieka chłodzi do szkoły, lecz szkoła „chodzi”, a raczej „lata” do ucznia.

Odrobina wyobraźni wystarczy by uprzytomnić sobie pozostałe cnoty i zalety małego samolotu.

Może się wydać dziwne, że swoje impresje z pokazów lotnictwa brytyjskiego i z wystawy brytyjskiego przemysłu lotniczego w Farnborough nie rozpoczynam od grzmiących odrzutowców, latających trzy czy ile tam razy szybciej od głosu, lecz właśnie od małego „pisklęcia”. Przyczyna prosta: zwabił mnie dźwięk polskiej rozmowy na stoisku. Inż. Kolasiewicz ma lat 27 i jest — pomimo skromnego wyjaśnienia, że do niego należą „tylko” obliczenia techniczne i inne wysokie matematyki — sporą szyszką w firmie wyrabiającej „Prospectory”. Naczelnym pilot opatrzony ogromnymi wąsami okazuje się w bliższym poznaniu pobratymcem — Czechem. Przemysłne dźwięki lotnicze demonstruje opodal inny Polak.

Lecz to tylko jedno stoisko jednej firmy. Stoisk na wystawie jest kilkadziesiąt. Nie podejmuję się opisywania pokazanego na nich sprzętu: lotniczego, elektronicznego, radarowego ani w ogóle żadnego sprzętu. Z tego prostego powodu, że się na nim zupełnie nie rozumiem i wszystko co bym napisał było by beznymnym przepisywaniem z broszur, prospektów lub uczonych artykułów w pismach i wydawnictwach fachowych, którymi jestem po godzinie wędrowki obławowany jak wielbiad.



ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI

NR 378/60

Poziome: 2) żegiestów, 6) glon, 7) cygan, 8) ruta, 9) wieża, 10) cypel, 11) układ, 12) front 14) Pan Twardowski, 19) kuna, 20) Busk, 21) astry, (wspak), 22) siak, 23) ostr, (wspak), 24) Faraon, (wspak), 25) djabeł (wspak).
Pionowe: 1) regencja, 2) żongler, 3) El Greco, 4) wirówka, 5) prawidła, 12) fawory, 13) trofean, 14) Poussin, 15) Niagara, 16) Rustan, 17) sobótka, 18) Dmowski (wspak).

*) Marek St. Korowicz, Introduction to International Law. Present conceptions of International Law in Theory and Practice. The Hague, Martinus Nijhoff, 1959.

ORZUTOWE I ELEKTRONICZNE

Technika, matematyka i inżyniera oburzy...

Przyglądam się dziwowi dla mnie niezrozumiałemu...

Zrozumiałem w Farnborough tajemnicę czaru jako roztańczenia światła...

Niedobrze jest filozofować zbyt wiele, zwłaszcza gdy się jest w królestwie...

Zadamy międzyplanetarnej ścieżki...

Obie te przyjemności mogą złączyć ze sobą...

Sądaj mój z brytyjskiego ministerstwa lotnictwa...

Osiemnaście odrzutowców „Hunterów”...

„Avro”, który pakuje w przepastny kalduń...

wym głosem nadaje przez megafony bieżący komentarz...

Zaczynam się wycofywać z gościnnego namiotu — trybunu.

I tu dopiero niespodzianka za niespodzianką...

Jest to bowiem „polski wynalazek na angielską pogodę”...

Z rozmowy dowiaduję się, że na osiemnaście eksponatów stoiska...

Polaków w laboratoriach, nad stolami kreślarskimi...

Po pierwsze jest to przemysł nowy, a zatem mniej skostniały...

Rozmówca mój nie wspomina skromnie, że osiągnął w młodym jeszcze wieku...

Jeszcze gapię się przez thwilę na „działocznicy”...

Obsługa pracuje sprawnie i jak na muzeum...

Wracamy. Tył samochodu okupuje trzech miłych Szwedów...

J.P.H.

LIST DO REDAKCJI

Szanowny Panie Redaktorze, W imieniu Związku Polskich Klubów Sportowych...

POLSKIE DNI NA STADIO OLIMPICO

(Dokończenie ze str. 1)

metrów przewagi. Zimny jakby osłabł i pozostał w tyle...

Gdy zostało tylko ostatnie okrążenie, poderwał się do ataku Zimny...

Doskonale spisali się Rut i Ciepły w mistrzostwach...

POLSKIE PIĘŚCI

W chwili, gdy piszę te słowa, 4-ch Polaków czeka na walki finałowe...

KLAKA

Dobrym prawem każdego jest przyjechać na Olimpiadę...

bardzo słabym czasie (1,55,8) a dr. Lewandowski był 4-ty...

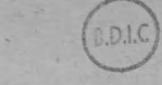
W boksie nikt właściwie nie zawiódł, w kajakarstwie wszystko było na medal...

Rzym, 10.9.

Z mým młodym towarzyszem, inżynierem z Warszawy...

Walcie na ringu są nasz Walasek i amerykański Murzyn Crook...

Gdy zawiódł Sidło i przegrał Krzyszkowiak...



przez kilkanaście minut. Nie słychać fanfar, nie słychać hymnu...

Zaraz po Walasku wszedł na ring Pietrzykowski...

MORDERCZY BIEG NA 10 KM.

Wszyscy spodziewaliśmy się, że Krzyszkowiak wywalczy nowy medal...

Wieczorem miałem możność zamienić parę słów z naszym biegaczem...

PORAŻKA SIDŁY

Była to najmniej przyjemna niespodzianka całej Olimpiady...

PANIE NA START

Gdy zawiódł Sidło i przegrał Krzyszkowiak...

Advertisement for 'SŁOWNIK WYRAZÓW OBCYCH' (Dictionary of Foreign Words) by M. ARCTA.

Gdy zelżały mrozy, przeprowadziliśmy na terenie całego obozu kanałizację i wybudowaliśmy cały szereg dróg między barakami jak również przygotowaliśmy — bez większego przekonania — poletka pod uprawę warzyw i kwiatów.

Nade wszystko jednak w obozie powstała świetnie zakonspirowana sprawnie działająca komórka ewakuacyjna, z centralą ubrań cywilnych i z własnym atelier fotograficznym do zdjęć paszportowych.

Ucieczka z obozu w Targu-Jiu była o wiele trudniejsza aniżeli wyjście z koszar w Caracal. Władze rumuńskie, w trosce o utrzymanie swej neutralności, utrudniały je jak mogły. Na obóz, na drogi, na stacje kolejowe i etapowe punkty ucieczki nasłano mnóstwo żandarmerii. Dookoła odrutowań obozu rozstawiono potężne lampy i co dwadzieścia pięć metrów budki wartownicze. W pewnej odległości od obozu krążyły bezustanku patrole z psami policyjnymi.

Najdłuższym stosowanym sposobem ucieczki z obozu w Targu-Jiu było podkopywanie się w zaspach śnieżnych pod drutami. By ująć uwagę pilnujących Rumunów używano przy tym białych płacht i prześcieradeł. Ten sposób ucieczki nie zawsze był uwieczony powodzeniem: wielu wpadało w ręce straży już po wydostaniu się za druty. Często dochodziło do dzikiej strzelaniny.

Masowe ucieczki zdarzały się przy okresowych przemarszach do „bajji” miejskiej, albo na pogrzebach zmarłych w obozie żołnierzy. Z takich okazji, mimo silnej straży, wracała zwykle tylko połowa uczestników.

Ucieczki zdarzały się również w czasie przyjazdów trupy teatralnej z Bukaresztu. Raz, po skończonym przedstawieniu, przed bramą zjawiała się grupa „cywilów” z instrumentami muzycznymi. Nie nie podejrzewający wartownik otworzył bramę i wypuścił ich do miasta. W parę godzin potem zjawili się prawdziwi muzykańscy i urządzili awanturę że „skradziono” im instrumenty. Oczywiście wszystko było ukartowane z góry i instrumenty „odnalazły” się w Targu-Jiu, a armii polskiej przybyło kilku ochotników.

Zdarzały się również indywidualne wyczyny jak na przykład przeszmuglowanie w bagażniku samochodu, należącego do pułk. Dumitrescu, który dzierżył władzę nad obozami internowanych. Naturalnie kierowca samochodu był przekupiony. Trudniej jednak wychodziło z przekupieniem wartowników.

Innym sposobem wydostania się za druty był wyjazd w beczce na wodę, dostarczaną z miasta do kuchni obozowych. Z przekupionym woźnicą rumuńskim jeździł zwykle jeden z naszych kucharzy, a w beczce kandydat na wyjazd do Francji. Raz jednak beczkowozem zamiast kucharza, wybrał się uzbrojony wartownik rumuński i nie było sposobu na uprzedzenie o tym ukrytego w beczce żołnierza. W mieście, przerażony, woźnica nabrał do beczki tylko połowę wody by nie utopił w niej swego pasażera i z nawpół zamarniałym Polakiem — mróz był trzaskający — wrócił do obozu.

Bardziej bezczelna ucieczka zdarzyła się w czasie budowania przez nas kanalizacji. W obozie dwóch naszych chłopaków, udając „geometrów” z długą tyką i sznurkiem zaczęło mierzyć rów tuż przy głównej bramie. Z niesamowitą pewnością siebie jeden z nich zażądał od wartownika otwarcia bramy i ze swoim pomocnikiem zaczął „mierzyć” rów ale już na zewnątrz obozu. Po chwili obaj zniknęli z oczu wartownika — i tyle ich zobaczono.

*) Łaźnia.

STANISŁAW CIEŚLEWICZ

DROGA DO BRYGADY

PRZYCZYNEK DO DZIEJÓW TWORZENIA WOJSKA POLSKIEGO
NA BLISKIM WSCHODZIE W ROKU 1940

Ale nie wszyscy jechali do Francji. W pierwszych miesiącach zimowych obóz nasz wystawiony był na silną propagandę niemiecką. Kierował nią młody por. rumuński, mówiący po niemiecku. Na przeszło 5.000 internowanych około 100 zgłosiło się na powrót pod okupację niemiecką.

26 marca 1940

Na parę tygodni przed świętami Wielkanocnymi zwoleńnię się z funkcji tłumacza przy komendzie rumuńskiej. Przyszło mi to tym łatwiej, że do obozu przybył por. Benson, świetny lingwista.

W czasie jednej z inspekcji zwierzchnika obu obozów polskich ppłk. Tworzylly, zameldowałem się u niego i poprosiłem o pomoc w wyjeździe do Francji. Pułkownik polecił majorowi Miedźwiedzowi i por. Sasowi, komendantowi mego baru, by ułatwili mi wyjście z obozu. W parę dni potem otrzymałem ubranie cywilne i zapewnienie, że otrzymam paszport w naszej komórce przerzutowej poza drutami.

W miasteczku prywatnie mieszka paru naszych lekarzy wojskowych, dochodzących do obozowej izby chorych. Posiadają przepustki, wydane przez władze rumuńskie i upoważniające ich do wchodzenia i wychodzenia z obozu internowanych o każdej porze dnia.

Z taką więc przepustką, oczywiście sfalszowaną, zjawiłem się dzisiaj przy głównej bramie. Towarzyszą mi dwaj porucznicy-lekarze, wracający na swoje kwatery w mieście. Wartownik rumuński długo oglądał nasze przepustki, poczem bez słowa otworzył bramę.

Przyszedłem się szczerze, że początkowo nie mogłem uwierzyć, że wszystko mogło pójść tak gładko. Przedemną stała otworem droga do Targu-Jiu a stamtąd — do Francji. Był pogodny, bardzo słoneczny dzień, pod nogami skwiercał śnieg. Mimo woli przyspieszyłem kroku, by znaleźć się jak najdalej od tego przekłętą obozu.

W Targu-Jiu, w mieszkaniu moich opiekunów zmieniłem mundur na ubranie cywilne. Udałem się do schroniska polskiej YMCA, gdzie mieści się nasza komórka przerzutowa do Francji. Zastałem tam już ogn. Romana Grzybowski i plut. Józefa Skwarę, którzy sobie tylko znanymi drogami wydostali się za druty. Umawiamy się, że pojedziemy razem do Francji.

Noc spędzamy w jakiejś norze na przedmieściu. Jutro mamy być przetrzuceni do Turnu Severin, nad granicą jugosłowiańską.

Turnu Severin, 7 kwietnia 1940

Ponieważ dworzec kolejowy w Targu-Jiu był pod ciągłą opieką żandarmerii rumuńskiej, wyjazd pociągiem do Turnu Severin połączony był zbyt wielkim ryzykiem. Postanowiono więc wywieźć nas samochodem do Filiasi, gdzie, wobec lepszej kontroli, łatwiej dostać bilety kolejowe.

Późnym wieczorem 27 kwietnia opuściliśmy Targu-Jiu małą, mocno rozklekotaną Chewroletą. Grubo po północy przybyliśmy do Filiasi i zatrzymaliśmy się przed domem, zamieszkałym przez polskich uchodźców cywilnych, byłych urzędników MSZ.

Następnego dnia (28 marca) udaliśmy się w dalszą podróż do Turnu Severin. W stołowie polskiej YMCA,

w gwarze i ścisisku, odnalazłem kilku znajomych z obozu w Targu-Jiu.

Dziesięciodniowe oczekiwanie na paszporty i bilety przejazdowe było zakłócone piątego dnia obławą żandarmerii. Wpadliśmy ze Skwarą na jakieś niesamowicie brudne podwórko, którego właścicielka, za opłatą kilku lei*) dała nam małeńki kącik w swoim nie mniej brudnym mieszkaniu. Przeczekaaliśmy tam do rana.

Nareszcie dzisiaj otrzymałem paszport numer 57481, wydany w Bukareszcie z datą 12.XII.1939 na nazwisko Piotra Wolczaka.

Jutro wyjeżdżamy przez Bukareszt do Konstancy. Okazuje się, że nie pojedziemy do Francji, ale do... Syrii, gdzie ma powstać jakaś większa zmotoryzowana jednostka wojska polskiego.

Bukareszt, 9 kwietnia 1940

Rano nasz transport liczący około stu ludzi, pod „wodzą” podporuczników Grucy i Ościka, przybył do Bukaresztu. W konsulacie RP skierowano nas na kwatery wycieczkowe i wydano instrukcje co do dalszej drogi. W nocy mamy wyruszyć do Konstancy.

Konstanca, 10 kwietnia 1940

Wczoraj po północy wyjechaliśmy z Gara de Nord i po siedmiodzinnej podróży przybyliśmy do Konstancy.

W konsulacie polskim w Konstancy przydzielono nam kwatery noclegowe i powiadomiono nas, że jutro odpływamy do Syrii statkiem rumuńskim „Transylwania”.

Istanbul, 12 kwietnia 1940

Wczoraj wieczorem weszliśmy na pokład statku „Transylwania”. Przedtem jednak, z polecenia władz portowych, które chyba widzą, że jesteśmy uciekinierami z obozów internowanych, musieliśmy pójść do kąpieli i oddać ubrania do dezynfekcji. Wszędzie słychać język polski i jeżeli nie ma masowych aresztowań to tylko dlatego, że większość urzędników rumuńskich jest przekupiona przez nas konsulata.

Do Bosforu wpłynęliśmy wczesnym rankiem. Po obu stronach cieśniny rozciąga się wspaniały widok na wysokie zalesione wzgórza z rozsiadymi na ich zboczach białymi pałacami. Tu i ówdzie wylania się smukła wieżyczka minaretu. Mijamy pałac prezydenta Turcji Kemala Paszy, wreszcie zjawiamy do Istanbulu, dawnego Konstantynopola.

Po południu ruszamy w dalszą drogę, przez Morze Marmara do Grecji.

Pireus, 13 kwietnia 1940

Na morzu Egejskim, przed wpływieniem na greckie wody terytorialne statek nasz był kontrolowany przez okręt brytyjskiej marynarki wojennej.

*) Lei — rumuńska jednostka monetarna.

CZĘŚĆ II. do wojska polskiego na Bliskim Wschodzie.

Dekouané, 27 kwietnia 1940

Pierwsza noc na ziemi libańskiej była bardzo zimna. Po upalnych dniach, w nocy temperatura obniża się tu znacznie i wszyscy dzwoniemy zębami pod szorstkimi kocami francuskimi.

Pierwszego dnia pobytu w Dekouané nikt specjalnie się nami nie interesował — wybrałem się więc na zwiedzenie Bejrutu.

Do Dekouané wróciłem późnym wieczorem.

Dwudziestego kwietnia podniesiono flagę polską w obozie T.2. i kpt. Batorski, komendant Stacji Zbornej, odczytał swój pierwszy rozkaz dzienny. Pouczenia, zakazy...

Następnego dnia komisja poborowa rozpoczęła swoją pracę i pierwsi ochotnicy do wojska polskiego stają przed komisją lekarską. Moje drukowane zaświadczenie o stawieniu się do wojska nosi datę przybycia do Bejrutu — 17. kwietnia 1940 godzina 14.00 i kolejny numer 108.

Nie wiem po co, ale musimy pisać życiorysy, które przegłada jeden z członków komisji weryfikacyjnej, wiecznie uśmiechnięty ppor. Rajewski.

Aczkolwiek niechętnie, musiałem zgodzić się na służenie jako tłumacz w mieszanej, polsko-francuskiej komisji lekarskiej. Oznacza to, że gdy moi koledzy wychodzą na długie przechadzki, albo wygrzewają się na słońcu ja muszę tkwić w dusznym baraku komisji i powtarzać w kółko te same pytania i wysłuchiwać tych samych odpowiedzi.

Dnia 23. kwietnia obóz nasz wzywał generał Weygand, głównodowodzący francuskiej Armii Lewantu. Mimo swego podeszłego wieku generał trzyma się dobrze i przed frontem naszej kompani przeszedł „krokiem baletniczy” — jak wyraził się jeden z moich sąsiadów w szeregu.

Tego samego dnia przybył do obozu pułkownik Kopański, który ma być dowódcą formującej się brygady wojska polskiego. Rozmawia z nami i wypytuje się o nasze przebiegi w Rumunii. Wydaje się być bardzo bezpośredni i ludzki. Nabieramy od razu zaufania do tego skromnego pułkownika.

Dwudziestego piątego kwietnia Stację Zborną opuścił pierwszy transport żołnierzy, udających się w trzystu kilometrową podróż do Homs, w Syrii, gdzie szkolić się ma brygada. Jutro i nasza grupa wyruszy ich śladami. Znowu będziemy mieli broń. I pomścimy nasze rodziny i kraj nasz za poniewierkę i cierpienia, doznane nie z naszej, żołnierskiej winy.

Brygada po chwalebnej służbie poczynając od Syrii poprzez Palestynę, Egipt i walki w kampanii afrykańskiej, została przeorganizowana w 3 Dywizję Strzelców Karpackich. Dywizja wstąpiła się w walkach z wojskami „osi” we Włoszech w latach 1943, 1944 i 1945.

K O N I E C

Wzmacniajcie nerwy i oczyszczajcie krew, a będziecie cieszyć się zdrowiem i wzmoczoną działalnością do pracy!

Wyciąg z życiodajnych gruczołów zwierzęcych

KALEFLUID

Używanie naszego preparatu polepsza stan zdrowia w sposób bardzo znaczny, w wypadkach ogólnego osłabienia, depresji nerwowej, zmęczenia, wyczerpania, zaburzenia i starości. U kobiet również w wieku przejściowym. W sprzedaży w wielkich aptekach. Wysyłamy bezpłatnie w języku polskim przepisy używania.

Laboratoire B. KALEFLUID
FRANCJA
66. Bld. Exelmans, Paris 16-e.

MATERIAŁY, LEKARSTWA, ŻYWNOŚĆ

najszybciej, najkorzystniej, najlepiej

wyślesz przez

P. C. S T O R E S

S. BREWKA

Queens Gate Terrace, London, S. W. 7.

Tel. KNI 0747

Podaje resztę talii do przełożenia.

— To samo... bosko ciebie widzę i z rozpuszczonym włosem... Bez butów daleko nie zajdziesz. Wiatr spycha z drogi, na przyjscie chmury czeka... Wiatru się nie bać! Step rozległy jak stół...

Głęboko odetchnęła.

— Nic więcej nie widzę.

Zgarnęła talie, skoczyła ku wyjściu. Zatrzymała się w drzwiach.

— Jakby mnie takie karty wyszły, to bym jeszcze dziś stąd uciekała jak stoje, nie oglądając się za sobą. Choćby w deszcz, mróz i zawieje. Uczynicie, jak chcecie. Ja wam niczego nie doradzam i nie mówię. Karty mówią. A karty nigdy nie kłamają.

Zostawiła ich, zdumionych i przestraszonych. Szura była bliska płaczu.

— Jaką ona czarną chmurę zobaczyła? Co to znaczy? i powiedziała, że ty dojdiesz, ale sam...

— At, nie zwracaj sobie głowy. Co tam taka wróżba! W ogóle, niepotrzebnie zgodziliśmy się na tę kabałę...

Ale i jemu zrobiło się nieswojo. Mroczna przepowiednia garbuski pusała im humory na cały dzień. Staś czytał, Szura zajęła się cerowaniem. O wróżbach nie było już mowy, aż dopiero wieczorem. Naturalnie, zaczęła Szura.

— Powiedziała, że na naszym miejscu nie zostałaby tu ani jednego dnia. To znaczy, że grozi nam jakieś niebezpieczeństwo... A nie chciała powiedzieć, jakie...

— I ty wierzysz w te bzdury?

— Nie wiem. Jakże nie wierzyć, jeśli karty tak mówią?...

Na taki argument nie umiał znaleźć odpowiedzi. Szczekała zębami, gdy ją przyciągnął ku sobie.

— Co ci jest?

— Po tych kartach tak się dziwnie czuję... Jakbyśmy byli razem już po raz ostatni...

Mocny uścisk młodych ramion powoli przywracał zaufanie i pewność siebie. Potem go przeproszała, że się przestraszyła tak głupio. Usnęła, zanim zdążył powiedzieć: Dobranoc! Przykrył ją prześcieradłem do połowy ciała, podszedł do okna, usiadł na parapecie, zapatrzył się.

Gęstwa drzew przesłaniała niebo i gwiazdy. Mimo to mrok nie był jednostajny, jedne gałęzie i liście wydawały się zupełnie czarne, inne odbijały na ich tle ciemnością mniej intensywną. Sen odbiegł chłopca zupełnie. Zgrzane ciało przyjemnie stygło pod rzeźwiącym oddechem ogrodu. Chodziły po nim dziwne szepty i szmery, choć powietrze było prawie nieruchome.

Pomyślał o wróżbie i cichutko roześmiał się. Jaka tam chmura, jaki cień!... Dotychczas wychodził z najgorszych opał, to i teraz pójdzie dobrze. Tym bardziej, że we dwoje. Przezimują spokojnie, a wczesną wiosną w dalszą podróż. Głupia Tina, wyskoczyła ze swoimi kartami ni w pięć ni w dziewięć, tylko Szurę zdenerwowała.

Wrócił do łóżka. Dziewczyna mruknęła we śnie i, nie budząc się, objęła go ramieniem. Z podkurczonymi kolanami wydawała się pod prześcieradłem dużo mniejsza, jak-

JÓZEF LOBODOWSKI

Droga powrotna

POWIEŚĆ

by nieletnia. Włosy, rozsypane na poduszce, ułożyły się w kształt jakiegoś fantastycznego ptaka. Posapywała miarowo, ufna i spokojna. Z czułością pogładził rozgrzany policzek, usnął.

Pierwsza myśl po obudzeniu się: — Czy przyszedł Aszwajanc? Tina, zagadnięta, odpowiedziała krótkim: Nie! Wczorajsza chęć do rozmawiania minęła bez śladu, garbuska znowu odpowiadała dwoma, trzema słowami. Przyniosła śniadanie i już więcej nie pokazała się. Chłopca ogarnęła niepokój. Szura zlekceważyła jego obawy.

— Cóż z tego, że nie przyszedł! Słyszałeś przecież co Tina mówiła, że nie pierwszy raz.

Gdy jednak i po czterech dniach Ormianina nie było, także i jej udzielił się niepokój Stasia. Piątego dnia postanowili, że trzeba zasięgnąć wiadomości. Chłopiec miał adres znajomych-Griszy na wypadek, gdyby się coś stało. Szura chciała z nim iść, ale jej zabronił.

— Jeżeli jest poruta, samemu łatwiej będzie wywiewać. Siedź i czekaj!

Sprawdził, czy kindżał łatwo wychodzi z pochwy, zagwizdał na Rozboja i poszedł.

Miał dziwne uczucie, że idzie w jakimś ostatecznym celu, po ostateczne decyzje. Pies podskakiwał obok, coraz sięgał mokrym pyskiem do rąk. Był zadowolony ze spaceru, ocierał się o nogi swego pana, wesoło poszczekiwał. Staś wiedział, żeby dostać się do Nachiczewania, musi przejść przez most, nie orientował się gdzie, znalazł tylko ogólny kierunek. Było dość daleko, ale nie spieszył się. Wolał zająć na miejsce o zmierzchu.

Sam nie wiedząc kiedy, wyszedł na brzeg Donu. Ucieszył się, że już nie zbłądził. Wystarczyło iść wciąż w górę — sam brzeg go zaprowadzi. Miał przed sobą rozległą panoramę potężnej rzeki. Pod zachodzącym słońcem nurt przelewał się, ciężki, jak złocista oliwa. Tam, gdzie tworzyły się wiry i fale, wydawało się, jak gdyby niewidzialny lemiusz odwalał tłuste skiby ziemi, koloru spłowiałego moździerza. Czajki krążyły z wrzaskiem, jak zawsze przed końcem dnia.

Po półgodzinnym marszu zagłębił się w gąszcz uliczek ludnej dzielnicy. Niewielkie, przeważnie murowane domy, mnóstwo sklepów, w większości pozamykanych, tu i ówdzie zabitych deskami na giucho. Chmury smagłych, czarnowłosych i czarnookich dzieciaków. Na ławeczkach pokurzone postacie starców i staruch, rozleniwionych sennie w ciepłym wieczoru.

56) Zapytał jednego ze starych o ulicę. Tamten przyjrzał mu się niedowidzącymi oczami spod czerwonych powiek. Pokazał drżącą dłoń.

— Druga na lewo. Ale lepiej nie chodź.

— Dlaczego?

— Idź, jak chcesz. Sam zobaczysz.

Skreślił we wskazaną uliczkę i od razu jakby skamieniał. Opodał stał ciężarowy samochód, kryty brezentem. Milicjant grzebał w motorze, drugi skręcał papierosa, siedząc na skraju chodnika. Naprzeciw, przed furtką, prowadzącą do ogrodu, krępy mężczyzna w mundurze i skórzanej czapce. Chłopiec opanował się i z obojętną miną przeszedł na drugą stronę ulicy. Zatrzymał się, udał, że majstruje przy obroży Rozboja, i dyskretnie wycofał się za róg.

Chuda dziewczynka, brudna i bosa, skakała na jednej nodze wzdłuż rynsztoku. Dwa długie warkoczki, przeplatane czerwonymi wstążkami, zwijały się przy każdym skoku. Podniosła głowę. Zdziwił się, że ktoś może mieć takie olbrzymie oczy w tak małej twarzy. Ormianeczka stała na jednej nodze, podkurczywszy drugą, śmiesznie jak czapla. Pokazała na Rozboja.

— Jaki duży pies! Nie gryzie?

— Jeśli mu krzywdy nie robisz... Chcesz, możesz pogłaskać...

— Naprawdę nie ugryzie? Zęby ma takie straszne.

Zbliżyła się ostrożnie i położyła drobną rączkę na głowie psa. Rozbój zamachał ogonem, zaśmiał się całym pyskiem, liznął ją w twarz gorącym jęzorem.

— O jej, ośliniła mnie!

Przykucnęła, opłotła ramionami szyję brytana. Spojrzała z ufnością na Stasia.

— A ty skąd? Nigdy ciebie nie widziałam... Szukasz kogo?

Pokazał głowę za siebie.

— Co oni tu... z rewizją przyjechali?

— Ci ludzie z rewolwerami? Przychodzą, gdzie ich nie proszą, raz tu, raz tam. Chcą go złapać. Ale nie złapią.

— Kogo?

Przekrzywiła główkę, obejrzała go jeszcze raz od stóp do głowy.

— Jednego takiego... Dobry chłopiec, zawsze mi cukierki przynosi. Ty też jesteś dobry, z psem pozwoliłeś się bawić...

— Jak się nazywa?

Puściła szyję Rozboja. Odeszła na kilka kroków, znowu podskoczyła na jednej nodze.

— Nie wiem... nie pamiętam...

Oczy zrobiły się jej jeszcze większe. Smagłe palce szarpały czerwoną wstążeczkę przy warkoczku. Nie uciekała, gdy zbliżył się i wzięła za rękę.

— Powiedz... bo jeżeli to on, muszę wiedzieć! To mój przyjaciel, rozumiesz, mój kunak! Ormianin, jak i ty, Grisza ma na imię. To po niego przyszedł!

Dziewczyna wciągnęła głowę w ramiona. Rozejrzała się na wszystkie strony, położyła palec na ustach.

(c. d. n.)

DALEKI WSCHÓD. Nie tylko w Afryce i w Zatoce Meksykańskiej, ale także na Dalekim Wschodzie nastąpiły różne zmiany i wydarzenia, które mogą mieć w bliższej lub dalszej przyszłości poważne następstwa strategicznej natury.

JAPONIA ratyfikowała wprawdzie jeszcze przed ustąpieniem rządu Kishi nową umowę wojskową z Ameryką, ale pod terrorem częściowo rozfanatyzowanej, a częściowo po prostu kupionej mniejszości, a zwłaszcza młodzieży, zrezygnowała z wizyty prez. Eisenhowera i wymogła wycofanie amerykańskich samolotów rozpoznawczych U-2 na Okinawę. Pogrożki Moskwy odegrały w tym niewątpliwie także pewną rolę. Po rezygnacji premiera Kishi i ogłoszeniu w dniu 11 lipca, że samoloty te zostaną wycofane, nastąpiło pewne uspokojenie, jednak prestiż rządu ucierpiał poważnie wskutek tego zwycięstwa „ulicy“.

Wojenna flota japońska posiada już 208 jednostek pływających o łącznej wyporności 114.576 ton oraz 200 samolotów, jednak nadal nie posiada ani lotniskowców, ani krążowników. Największymi jednostkami są niszczyciele starszego typu, których jest dwanaście. Dwa dalsze, po 2.350 ton, mają niebawem przybyć. Dnia 30 czerwca przejęto na służbę pierwszy okręt podwodny, wybudowany po wojnie w Japonii. Był on wodowany w maju 1959 roku i ma 1.100 ton wyporności. Koszt budowania na podstawie licencji 200 amerykańskich myśliwców F-104 ma w jednej trzeciej pokryć Ameryka.

OKINAWA. W związku z ponownym zaognieniem sytuacji amerykańska załoga tej wyspy została wzmocniona jedną grupą bojową słynnej 82 dywizji spadochronowej, przetrzoną z Kalifornii.

FORMOZA. Podczas wizyty prez. Eisenhowera, tzn. w czerwcu, artyleria Chin komunistycznych bombardowała gwałtownie archipelag przybrzeżny Quemoy a samoloty czerwone przelatywały często nad wyspą Matsu, trzymaną również przez wojska Czang Kaj-

KRONIKA WOJSKOWA

szka. Na samej Formozie Amerykanie zakończyli budowę nowoczesnego lotniskowca o tarmakach umożliwiających starty i lądowania najcięższych i najszybszych bombowców.

KOREA POLUDNIOWA. Dwie dywizje amerykańskie, stacjonowane wciąż jeszcze w Korei jako gros sił ONZ, otrzymały ostatnio dość znaczne uzupełnienia. Mimo to mają one nadal dość duży procent żołnierzy koreańskich w swoich szeregach. Przewiduje się, że w najbliższym czasie podległa wojska koreańskiego, pochłaniające podobno 80% budżetu tego bledącego państwa, postępuje mimo nacisków amerykańskich bardzo wolno. Gwałtowne demonstracje uliczne, organizowane przez przeciwników sędziwego dyktatora Syngmana Rhee, doprowadziły nie tylko do zmiany rządu, ale także do dymisji szefa sztabu i bohatera wojny koreańskiej, gen. Song Yoczan, zniemawidzonego za to, że zwolnił około 1.500 oficerów, częściowo włączonych w wystąpieniu poprzedniej opozycji. 30 lipca niszczyciel południowo-koreański zatopił komunistyczną łódź patrolową.

CHINY KOMUNISTYCZNE. Choć nie sprawdziły się alarmy pochodzące ze źródeł indyjskich, że Chiny przeprowadzą 28 marca pierwszy wybuch stosu atomowego, utrzymują się pogłoski, że przyspieszają one przygotowania do do-robienia się własnych bomb atomowych, choćby tylko o mocy francuskich, eksplodowanych w pierwszej połowie br. na Saharze. Wywiad amerykański przypuszcza, że Sowiety w tych przygotowaniach pomagają, natomiast odrzuca tezę japońskiego wywiadu, że dali Chinom pewien zapas gotowych bomb atomowych, pozostający pod kontrolą sowiecką. Pewnych wiadomości an ten temat, jak się zdaje, nie ma. Amerykanie podobno są zdania, że o ile Chiny w ciągu 18 miesięcy doświadczeń nie przeprowadzą, to będzie dowodem, że Sowiety niechętnie i tylko pozornie im po-

magają. Pochodząca ze źródeł jugosłowiańskich wiadomość o masowym powrocie techników sowieckich do Rosji, rozpuszczona w połowie sierpnia, wymaga potwierdzenia. Nie może natomiast ulegać wątpliwości, że w Tybecie panuje terror i doszło do nowych walk w górach oraz że doszło także do krwawego starcia na granicy Nepalu wskutek wtargnięcia wojsk chińskich na terytorium tego państewka. W tym wypadku Chiny przyznały się do winy i wycofały ów agresywny oddział z granicę, natomiast o wycofaniu swoich wojsk z zagarniętych w ub. roku części Ladaku i Assamu indyjskiego nadal słyszeć nie chcą. Nieoficjalne projekty Czu En-lai stworzenia na Dal. Wschodzie strefy bezatomowej Ameryka zignorowała.

LAOS. W tym małym królestwie indochińskim, do niedawna popieranym przez Amerykę, doszło w pierwszej połowie sierpnia do przewrotu, wywołanego przez zajęcie stolicy Wietniane przez spadochroniarzy pod przewodnictwem ambitnego kapitana Kong Lae. Jego powiązania z komunistami są jasne. Kto ze szanujących się polityków i dowódców wojskowych opanuje sytuację, trudno jeszcze stwierdzić. Wiadomo jednak, że nowy rząd utworzył dawniejszy premier-neutralista i że nie pozwolono amerykańskim i francuskim instruktorom i misjom opuścić Wietniane. Gros wojska „królewskiego“ zachowało się biernie. Poprzedni rząd częściowo przebywa w Luang Prabang, a częściowo uciekł do Bangnoku siamskiego. Wojskowy personel francuski, pozostawiony w Laos na podstawie umowy z 1954 roku, liczy około 500, a amerykański 78 oficerów i podoficerów.

MALAJE. Z dniem 1 lipca został zniesiony stan oblężenia, trwający nieprzerwanie od 10 lat. Dowodzi to, że komunistyczna partyzantka została ostatecznie zlikwidowana.

Kage



**BILETY
PODRÓŻE
WAKACJE**

STANMOR

TRAVEL AGENCY

121, EARLS COURT ROAD,
LONDON, S.W.5. Tel. FRE 1155.
(Minuta od stacji Earls Court).

WYSTAWA OBRAZÓW

COUILLE
DUGUID
TRACY

od 17 września 1960

Galeria Grabowskiego

84, Sloane Avenue, London, S.W.3.
OTWARTA CODZIENNIE,
godz. 10 — 6 pp.

DOSKONAŁA POMOC.

Dobre przeliczenie. Łatwo sprzedażne.

NINON — francuskie szykowne sweterki bawełniane, v-neck, wykończenie przy szyji kontrastowe, krótkie rękawy, trzy wymiary. Kolory: granatowe, niebieskie, fioletowe, białe, koralowe. Cło tylko 12 zł.
Cztery sztuki: £ 2.3.6. 18 sztuk: £ 9.5.0.

BEATRICE — Jersey'owe garsonki (spódnica i sweterek) 60% wełny, szykowne i praktyczne, modny luźny krój, trzy wymiary. Kolory: granatowe, niebieskie, błękitne, popielate, fioletowe, jasno-zielone, koralowe. Cło: 120 zł.
Komplet: £ 3.17.6.

TRICELIN — materiał plisowany na spódnice, gwarantowanie nie rozchodzący się po praniu. Kolory: czarny, granatowy, niebieski, popielaty, biały, jasno-brązowy, jasno-zielony, szafirowy, wiśniowy.
Kupon na spódnice (3 yardy) z dodatkami £ 1.17.6.

TAZAB LTD.

22, ROLAND GARDENS, S. W. 7.

Czy O. N. Z. zda egzamin?

(Dokończenie ze str. 1)

dobrze nie poznać kart, którymi grać mają jego przeciwnicy. Z Nowego Yorku może wynieść wygraną propagandową, może jednak także zagrać o stawkę znacznie ważniejszą: o likwidację ONZ. Nie była by to rzecz jasna likwidacja formalna, lecz polegała by na zdobyciu 2/3 głosów chociażby tylko w głosowaniu nad „rezolucją rozbrojeniową” przedstawioną przez Sowietów i sprzymierzeńców sowieckich. W takim wypadku skończył by się cel istnienia ONZ. Wygodniej przecież operować większością na Zebraniu Ogólnym niż posługiwać się, mało popularnym, nawet wśród najbardziej nierozgarniętych „neutralistów” prawem weta na Radzie Bezpieczeństwa.

Cel ten nie jest tak bardzo odległy jakby się wydawać mogło przed kilku jeszcze laty. Wśród 106 członków ONZ połowę stanowią dziś państwa słabe gospodarczo i politycznie nie wyrobione. Do nich zalicza się plejada nowych państw afrykańskich, z których każdy Senegal czy Gwinea mają taki sam głos co Brazylia, Szwecja lub Włochy. Wystarczy drobnych przesunięć, paru kaprysów w Ameryce Łacińskiej, kilku obietnic dla państw azjatyckich by wywrócić dotychczasowy stosunek sił, względnie sparaliżować możliwość utrzymania większości antykomunistycznej. Demagogia odegra w tym rolę najważniejszą — zwłaszcza, że Chruszczow umie się posługiwać również dobrze gałązką oliwy „koegzystencji” co siekierą brutalnej groźby.

NALEŻEĆ będzie od stopnia zamętu jakie Chruszczow zdoła w Zgromadzeniu wywołać czy Chiny komunistyczne staną się nagłe członkiem ONZ. Uznanie ich przez pierwsze państwo amerykańskie jakim jest zresztą komunizująca Kuba, zapowiada różne niespodzianki. Jeśli Chruszczow liczy na zdobycie większości dla swych sloganów rozbrojeniowych, może też liczyć na poparcie dla Chin. Związki, że dla wielu państw zachodnich, dla W. Brytanii przede wszystkim, przyjęcie ich do ONZ nie będzie przedstawiać konieczności zmiany swej własnej linii politycznej. Tym łatwiej zaś o sukces taki mogą się Sowiety pokusić im głębsze zapuściła korzenie w umysłach — także amerykańskich — nadzieja, nazywana pewnością, iż konflikt o prymat między dwoma olbrzymami komunistycznymi nie jest sprawą pokoleń lecz sprawą najbliższych lat. Co prawda uspieniu czujności Zachodu towarzyszy jej wzmocnienie w Indiach, które po raz pierwszy w tym roku odstępają od tradycyjnego już zwyczaju zgłaszania kandydatury Chin komunistycznych na członka ONZ. Rola tę będzie musiał wziąć na siebie Chruszczow, którego część prasy zachodniej definitywnie już „pokłóciła” z Mao.

RADA Bezpieczeństwa nie zdołała zająć energicznego stanowiska w sprawie wypadków w Kongo. W przewidywaniu weta sowieckiego i w oczekiwaniu na główną rozpra-

wę w Zgromadzeniu Ogólnym nie poparła żądań Sekretarza Generalnego Daga Hammarskjölda, który w tej chwili toczy samotny bój o honor i sens istnienia instytucji, której jest naczelnym urzędnikiem wykonawczym. Jego żądania by O. N. Z. mogła w Kongo wykonywać swe funkcje nadzorczy i stróża ładu i porządku spotkało się z zakłopotanym milczeniem.

Miało to zdecydowany wpływ na przebieg wydarzeń w Kongo. „Kołowrotek” w Leopoldville może budzić uśmiechy i drwiny, jego znaczenie jednak jest ogromne. Lumumba pozabawiony władzy, władzę odzyskuje; aresztowany wraca na wolność; oskarżony przez nowy rząd premiera Ileo otrzymuje wotum zaufania w parlamencie, co prawda kadłubowym i bez potrzebnego quorum.

Prezydent Kasavubu działał w ramach prawa i konstytucji nowego państwa. Kładł nawet duży nacisk na zagadnienie praworządności wzywając O. N. Z. do udzielenia jego państwu nie tylko pomocy technicznej, gospodarczej i policyjnej lecz także do odbudowy hierarchii sądowej przy pomocy bezstronnych fachowców międzynarodowych.

Rewolucje jednak nie dokonują się w oparciu o konstytucję, zwłaszcza gdy sam wyraz i jego treść jest pustym i niezrozumiałym słowem dla obywateli. Faktem politycznym jest, że Lumumba ma poparcie państw afrykańskich i — jak widzimy na przykładzie Ceylonu i Egiptu — także Azji i świata arabskiego. Wiele z nich — Gana jest w tym wypadku najważniejsza — wolało opowiedzieć się przeciw O. N. Z., niż osłabić pozycję Lumumby. Ten też fakt polityczny sparaliżował O. N. Z. zanim jeszcze Chruszczow rozpoczął generalne pa nią natarcie.

Przyczyny są dwie. Z jednej strony nieufność państw powstałych z kolonii europejskich do każdej akcji i każdego poczynania, któremu świat zachodni udziela poparcia technicznego i moralnego. Z drugiej zaś — i faktu tego nie należy ukrywać — orientowanie się na wolę Sowietów stanowią w ich polityce czynnik najistotniejszy. Sowiety poparły Lumumbę. Być może, że poparcie to odpowiada uczuciowemu nastawieniu państw Czarnego Kontynentu. Ważniejsze jest i groźniejsze, że w Kanakry, w Accra i w Chartumie pójsicie w sprawie Kongo po linii dyktowanej przez Moskwę, uchodzi za roztropne ustawienie się po stronie silniejszego.

Można się też obawiać, że trzeźwym politykom afrykańskim, doceniającym niebezpieczeństwo komunizmu dla siebie i dla świata, odejdzie ochota do naśladowania prezydenta Kasavubu, któremu świat wolny nie udzielił poparcia. Należy mu się podziw, że podjął samotną walkę w obronie interesów nie tylko swego kraju lecz i całego wolnego świata. Oby podziw ten jednak nie był tylko dodatkiem do jego politycznego nekrologu.

W całokształcie wypadków międzynarodowych cierpki głos generała De Gaulle rozbrzmiewa nie tylko jako krytyka O. N. Z. i świata zachodniego lecz jak dzwonek alarmowy. Bez jednolitego planu politycznego i wojskowego świat zachodni może się spodziewać tylko porażek, nie można bowiem być sprzymierzeńcami w jednym tylko forcie przygranicznym pozostawiając wszystkie inne, kurczące się granice, na łasce przeciwnika. Nowy prezydent Stanów Zjednoczonych będzie miał w tym względzie zadania większe i trudniejsze niż wszyscy, być może, jego poprzednicy.

P. Z.

NOWA EMIGRACJA LUDNOŚCI

„Trybuna Ludu” informuje, że w Polsce, w latach najbliższych pięciolatki, przyplynie ze wsi do miast ogółem ok. pół miliona ludzi, co zapoczątkuje cały łańcuch zmian w rozmieszczeniu ludności, wywołany dwa razy wyższym tempem przyrostu naturalnego na wsi, niż w mieście. Wysoki przyrost naturalny spowoduje olbrzymi przyrost ludności w wieku produkcyjnym, z czego w okresie najbliższych pięciu lat, wypłynie koniecznie znacznej migracji ludności dla umożliwienia wchłonięcia wiejskich nadwyżek ludnościowych przez miasta i odwrócenia w ten sposób groźby wielkiego bezrobocia. (FEC)

320 TYSIĘCY HARCERZY WSPÓD WIEJSKICH DZIECI

Do 1948 r. harcerstwo w Polsce było ciągle jeszcze organizacją miejską, i dopiero po swej reorganizacji w latach 1948 - 1950 podjęło masową pracę z dziećmi wiejskimi. Jak podaje „Zielony Sztandar”, „specjalną rolę w pracy harcerstwa na wsi odegrały również lata 1953-1959. Prace programowo-metodyczne oraz organizacyjne wówczas dokonane doprowadziły do sytuacji, w której na 600.000 harcerzy, zuchów i instruktorów, ponad 320.000 mamy na wsi”. Obok Harcerstwa działa również na wsi „Związek Młodzieży Wiejskiej”. „Trybuna Ludu” podaje, że Związek ten zresztą obecnie blisko 370.000 dziewcząt i chłopców. (FEC)

„MOJE WRAŻENIA Z OLIMPIADY”

na powyższy temat mówić będzie MGR. JÓZEF GARLIŃSKI, korespondent „ORLA BIAŁEGO” w czasie Olimpiady w Rzymie, w czwartek, dnia 22 września o godz. 19-tej w sali Instytutu im. gen. Sikorskiego w Londynie (20, Princes Gate, S. W. 7). Przewodniczy RED. P. HECIAK.

WYSOKA NAGRODA dla POLSKIEGO FILATELISTY z LONDYNU

W dniu 3—11 bm. odbywała się w Warszawie Międzynarodowa Wystawa Filatelistyczna, zorganizowana z okazji przypadającej w tym roku setnej rocznicy pierwszego polskiego znaczka pocztowego. Kilku set wystawców z całego świata wystawilo swoje eksponaty.

W klasie honorowej wystawiony był również zbiór Królowej Elżbiety. Przy poważnej konkurencji wielkich zbiorów, Grand Prix National i Złoty Medal uzyskał p. M. A. Bojanowicz, znany filatelista z Londynu za swój zbiór znaczka polskiego z r. 1860/65. Zbiór ten należy, dziś do najokazalszych w świecie; składają się nań liczne rzadkie okazy, z których część stanowi unikat, prawdziwe białe kruki polskiej filatelistyki.

fraszki

CHRUSZCZOW

Gadając, jedyną prawdę nam odsłania:
że można się utrzymać świetnie z wymyślania.

SKARGA

Stara panna westchnęła: „Wkoło ziemi zgrają
Prócz księżycy sputniki wciąż się wujają.
A z uczonych, to żaden mózgu nie wyteża
Strzelić w moją orbitę satelitę: meża”.

St. Kotwicz

KRONIKA TYGODNIA

6 września

Prez. de Gaulle oświadczył na konferencji prasowej, iż nie zmieni swojej obecnej polityki w stosunku do Algierii i że proponuje powołanie europejskiego parlamentu oraz ścisłą współpracę państw zachodnich w sprawach politycznych, gospodarczych i obronnych przy zachowaniu pełnej niezawisłości każdego państwa.

Dwaj amerykańscy eksperci tajnych szyfrów, 31-letni B. Mitchell i 29-letni W. Martin, którzy w czerwcu br opuścili w tajemnicy Stany Zjednoczone, odnaleźli się w Moskwie, gdzie w dniu wczorajszym udzielił dziennikarzom wyjaśnień o swojej pracy w USA. Obydwaj zdradzają zamierzają przyjąć obywatelstwo sowieckie.

Władze ONZ w Kongo zamknęły wszystkie lotniska oraz radiostację w Leopoldville, z której do tej pory przemawiał premier Lumumba, odwołany ze swego stanowiska przez prez. Kasavubu.

7 września

Prez. Eisenhower wezwał rząd sowiecki do wstrzymania dalszej dostawy samolotów i innego sprzętu wojskowego dla premiera Lumumby w Kongo.

Kongolijska Izba Posłów nie uznała większością 60 głosów na 19, dekretu prezydenta Kasavubu odwołującego Lumumbę ze stanowiska premiera.

8 września

Premier Lumumba ogłosił, iż jeśli zajęte przez wojska NATO lotniska i sta-

LOS POLAKÓW W KONGO

Wobec wypadków w Kongo i niepokojących wiadomości, jakie stamtąd dochodziły, Ambasada R. P. przy Stolicy Apostolskiej zwróciła się do Sekretariatu Stanu prosząc, by Delegat Apostolski w Kongo otoczył tamtejszych Polaków opieką.

W odpowiedzi na swą notę amb. K. Papee otrzymał sprawozdanie o Polakach zamieszkałych w Goma i Ruandzie, nadesłane Ambasadzie wprost z Leopoldville przez Delegata Apostolskiego *Mgr. Gaston Mojaisky Perelli*. Sprawozdanie wymienia pięć nazwisk: Adam Bielski z Ruandy; Stanisław Krasicki z Gomy; pani Jankowska, pielęgniarka, z Gomy; Jurand Pluciński i państwo A. Sapiehowie. Wszyscy wymienieni znajdują się w dobrym zdrowiu i nie mieli żadnych nieprzyjemności.

W nocie swej Ambasada wymieniła 43 nazwiska Polaków zamieszkałych w różnych prowincjach Konga. Jak dotąd więc nie ma jeszcze wiadomości o losie większości tych Polaków. Ambasada R. P. przy Stolicy Apostolskiej będzie wiadomości te przekazywać w miarę otrzymywania ich z terenu kongijskiego.

cje radiowe nie będą mu zwrócone, wojska NATO będą musiały opuścić Kongo. Lumumba żądał zwolnienia Rady Bezpieczeństwa.

Reżym komunistyczny wschodnich Niemiec ograniczył na nowo dostęp do wschodniego Berlina, żądając od wszystkich mieszkańców zachodniego Berlina specjalnych przepustek. Zmari komunistyczny prezydent wschodnich Niemiec, Pieck.

9 września

Trzej komendanci zachodniego Berlina złożyli na ręce komendanta sowieckiego protest przeciwko zarządzeniom władz komunistycznych wschodniego Berlina ograniczających dostęp do wsch. Berlina.

10 września

Sekretarz Generalny ONZ Hammarskjöld, przemawiając na posiedzeniu Rady Bezpieczeństwa, oskarżył armię kongolijską, iż mordowała bezbronną ludność cywilną.

Delegat sowiecki w Radzie Bezpieczeństwa, Kuźniecowa, poparł całkowicie stanowisko premiera Lumumby, żądającego wyjęcia wojsk ONZ z Konga.

Rząd amerykański oświadczył, iż Chruszczow powinien w czasie swego pobytu na Zgromadzeniu Generalnym ONZ pozostać w dzielnicy Manhattan Island, gdzie znajduje się siedziba ONZ. Nie wolno tu natomiast zjawiać się poza Manhattan Island. Podobne ograniczenie swobody ruchu wydano w stosunku do przedstawiciela węgierskiego reżymu komunistycznego Kadara i albańskiego, gen. Mehmet Szebu, Delegaci Bulgarii, Czechosłowacji i Polski, mogą podróżować dokądkolwiek chcą, natomiast delegat Rumunii musi uprzednio notyfikować w departamencie stanu każdy wyjazd.

11 września

Dwaj zwalczający się wzajemnie premierzy Konga, Lumumba i — mianowany przez prez. Kasavubu — Ileo, wysyłają własne delegacje na Zgromadzenie Generalne ONZ.

Przed nowojorskim hotelem Waldorf, w którym ma zamieszkać Chruszczow w czasie posiedzenia Zgromadzenia Generalnego ONZ demonstrują uchodźcy niosąc napisy: „Mordercy należą do Sing-Sing (słynne więzienie amerykańskie) i nie powinni mieszkać w hotelu Waldorf”. Spodziewane są również demonstracje przeciwko premierowi Kadarowi ze strony uchodźców węgierskich.

Alianicy komendanci zachodniego Berlina wstrzymali wizy przejazdowe urzędnikom wschodnich Niemiec pragnących wyjechać do zach. Niemiec.

12 września

Biskup kościoła anglikańskiego w Unii Półd.-Afrykańskiej, dr Reeves, który przed paru miesiącami opuścił Unię na znak protestu przeciwko przesładowaniom rasowym, wrócił z Londynu do Półd. Afryki. Został jednak następnego dnia aresztowany przez tajną policję i deportowany w nieznane miejsce.

CENA EGZEMPLARZA: w W. Brytanii 1/3 sh. — we Francji NF 0.75 — w Austrii 1.50 Sch. — w Belgii 7 fr. b. — w Holandii 60 cent. — w Niemczech 60 Pf. — w Portugalii 3 esc. — w Szwecji 90 öre — we Włoszech 60 lir. — w Australii A 1sh. 9d. — w Argentynie \$0.20 (w przeliczeniu) — w Kanadzie 20 cent. — w Stanach Zjedn. 20 cent. — w Szwajcarii 60 rp.

PRENUMERATA (opłata za przesyłkę lotniczą wg taryfy, płatna z góry). Zamówienia i należności przyjmują: W W. Brytanii: „Gryf”-Publications Ltd., 169-171, Battersea Church Rd., London, S.W.11; miesięcznie 6/-, kwartalnie 16/6 rocznie £3.0.0; zmiana adresu 1s. — W BELGII: miesięcznie: frb 25 kwartalnie frb 75; Mrs. J. Korab-Brzozowska-Csaky — 19 Square Saintelette, app 2 Bruxelles; wpłacać na rachunek poczt.: J. Korab-Brzozowska-Csaky, nr 7315.20, podając swój dokładny adres. — WE FRANCJI: N.F.: kwart 8.00, rocznie 28.00, Administracja „Syrena” 20, rue Legendre, Paris 17. Konto poczt. Edit. ELKA-Paris 5507-30; „Libella” Librairie 12 rue St. Louis en l'Île, Paris IV, nr konta poczt. Paris ce 565150. Francja północna: inż. Eugeniusz Tuszewski, 107, rue Royale, Lille (Nord) tel. 558-50. Dep. Bouches-du-Rhône, Var, Vaucluse: Stefan Horodyski Ecole des Filles, La Penne sur Huveaune (Bouches-du-Rhône) — W HOI ANDII: mies. fl. 2.00, kwart. 5.50; wpłacać przek. poczt.: Fr. Mahecki, Tuipentian 17, Lindenheuvel, Geleen (L.). — W NIEMCZECH: Stanisław Mikiciuk (13b1) München 45 Gablonzerstrasse 7/1. — W NORWEGII: koron mies 4 kwart. 10, rocznie 36; Narvesens Kiosk Kompanii, Post-

box 115, Oslo. — W PORTUGALII: kwart. 35, rocznie 120 esc.; A. Zieliński, Lisboa Central Caixa Postal Nr 110 — W SZWAJCARII: fr.szw. mies. 2.00, kwart. 5.50; Maria Wasung, 8 rue des Lilas, Genève i Janusz Rakowski, Mainaustr. 28 Zurich — W SZWECJI: koron. mies. 3.60, kwart. 10, rocznie 36; Polski Komitet Pomocy, Jungfrugatan 30/II Stockholm. — WE WŁOSZECH: lirów: kwart. 700; W. Zahorski, Associazione Combatt. Polacchi, Via Licia 19-9, Roma; należność wpłacać przekazem poczt. — W ARGENTYNIE: prenumerata roczna \$8.00 (w przeliczeniu); Tadeusz Dąbrowski, „Libreria Polaca” Serrano 2076, Buenos Aires — W BRAZYLII: półrocznie \$4.00, rocznie \$8.00; Z. Kietlińska, Av Batel 1514, Curitiba, Parana. — W AUSTRALII: „Vistula” (Australia) Pty. Ltd., Daking House Rawson Place, Sydney; „Spolem” 64, Tapleys Hill Rd., Royal Park, Adelaide, S.A.; kwart £1.0.0A, rocznie £3.15.0A — W KANADZIE: rocznie \$8.00; „Gryf”, Londyn. — W PŁD. AFRYCE: kwartalnie 16/6, rocznie 60/-; Prenumeratę przyjmuje bezpośrednio „Gryf” Publications Ltd. — W STANACH ZJEDNOCZONYCH: Prenumerata kwartalna — \$2.10, półroczna — \$4.00; Przedstawicielstwa: L. Dudarew-Osetynski, „Wilno”

28471 Ventura Boulevard, Agoura P.O. Box 113, California; „Gryf”, W. Biełkowski, 296, Sheridan Ave., Albany N.Y., Polish American Book Co., 1136 Milwaukee Ave., Chicago 22, Ill., „Księgarnia Ludowa” J. Zukowski, 5347, Chene St. Detroit 11, Mich.

CENA OGŁOSZEŃ: za jeden cal przez jeden tam £1.5.0, wzgl. 1 cm. przez jeden tam 750 fr. Przyjmuje GRYF PUBL. LTD., 171, Battersea Church Rd., London, S.W.11; Adm. „Syrena”, 20, rue Legendre Paris 17, tel. WAGRAM 0045; Carlton Berry Ltd., Gr. Buildings, Trafalgar Sq. London, W.C.2; lub Odra Press Ltd. 16, Drayton Ct., London, S.W.10. Nadesłanych rekopisów Redakcja nie zwraca. Za treść ogłoszeń Redakcja nie bierze żadnej odpowiedzialności. Adres Redakcji i Administracji: „Gryf” 171 Battersea Church Rd., London, S.W.11. Tel. BATTERSEA 1445. We Francji: „Syrena”, 20, rue Legendre, Paris 17, Tel. WAGRAM 0045. Konto pocztowe: Editions ELKA c.c. Paris 5507-30.

ABSTRAKCYJONIZM ŻYWY TRADYCJĄ



Paul Coupille: „OLIVIER“, portret chłopca. Olej o przewadze odcieni niebieskich. — Foto: Bednarski.

angielskiej „public school“; co rana uczniowie, między którymi nie ma już prawie chrześcijan, udają się do kaplicy anglikańskiej, gdzie odprawiane bywa normalne nabożeństwo (z wykluczeniem Credo). Rektor szkoły zapytany przez autora, wyjaśnia: „Dlaczego nie? To doskonale wpływa na dyscyplinę“. — Na podstawie obserwacji, Gordon Shephers przychodzi do przekonania, że wzór zapożyczony a przyswojony, jest o wiele lepszy, aniżeli żaden, w Gymkhana Club w New Delhi, w okresie Bożego

(Dokończenie na stronie 6)

Złotym piórem

thm

Przegląd nowości

KALEJDOSKOP LITERACKI

Nasłoneczniona Prowancja jest tym ostatniej powieści Josepha Peyré, „Le plan du soleil“, wyd. Flammarion. W ciepłej ciszy, na złotej szarości ziemi, gdzie ludzie przędą swoje życia tak spokojnie jak wiązą sieci rybackie, zjawia się młody człowiek — jeden z tych, przed którymi broni się zakątek pograżony w słońcu — człowiek „modny“. Tu, w Saint Tropez, spotyka dziewczynę z środowiska prowansalskich patriarchów; konflikt jaki powstaje z tego spotkania stanowi temat powieści, równie urzekający jak jej tło słoneczne.

Georges Blond wszedł do literatury francuskiej w r. 1935 powieścią „L'amour n'est qu'un plaisir“, następnie „Journal d'un imprudent“ i „Prométhé délivré“. Po wojnie, którą przeżył w służbie morskiej, porwał czytelników powieściami pisanymi pod wpływem dopiero co zebranych wrażeń: „Le jour se lève à l'Oust“, „Mary Marner“, a przede wszystkim „Le survivant du Pacifique, l'odyssée de l'Entreprise“ gdzie ukazuje obrazy z morza objętego wojną. Sypią się potem: „L'île de la Déesse“, o życiu fok książka którą zdobyli Stany Zjednoczone; „La grande aventure des baleines“, „La vallée des castors“, „La grande aventure des éléphants“ itd. Ostatnio ukazała się „Les naufragés de Paris“, wyd. Le Livre Contemporain, Paryż i Cercle du Livre de France, Mont-réal.

Cechą twórczości Blonda jest prawda. Tak jak czuje się ją w jego powieściach o historii współczesnej, tak czuje się ją w książkach o życiu zwierząt. Życie to

jest dla niego historycznie tak samo ważne jak wydarzenia polityczne i bada je równie trzeźwo i sumiennie. Jego książki o zwierzętach są tym w literaturze, czym w kinematografii filmy Disney'a. Blond, w stałej trosce o prawdę, zapomina o sobie — ważny jest tylko temat. Bo jak sam mówi: „Myślę, że największym niebezpieczeństwem dla pisarza, jak dla każdego zresztą jest, gdy bierze siebie zbyt poważnie“.

„Nord“ taki tytuł nosi książka L.-F. Céline, wyd. Gallimard — rzecz o kraju niemieckim w płomieniach. W chwili, kiedy ostatnie miesiące istnienia Reichu już się zbliżały, Céline znajdował się w Baden-Baden, gdzie kawior, bouillabaisse i szampan zaprzętał bardziej umysły aniżeli bombardowanie. M. in. opowiada o baronowej von Seckt, zadziwiającej pani z minionej epoki, która w rozmowie z autorem mówi o Hitlerze: „Wie pan na czym polega tryumf diabła? na tym, że nie ma już tych, którzy znali go rzeczywiście dobrze“. Céline pisząc „Nord“ stara się być kronikarzem, lecz upadek Niemiec, czego był świadkiem-obszernym, opisuje tak, jak Dante opisuje swą wędrówkę po piekle.

W wydaniu Macmillana ukazała się książka Gordona Shepherd „Where the Lion trod“. Autor w swojej podróży po dzisiejszych Indiach, spotykał się niemal na każdym kroku z — Wielką Brytanią. Np. jedna z ekskluzywnych swojego czasu szkół w Bengalu, mimo kilkunastu już lat niepodległości Indii, nadal nosi piętno

TAJEMNICA WSKRZESZONEGO WSPOMNIENIA

NIEDAWNO poskarżyłem się czytelnikom Orła we wspomnieniu z wojny roku 1920 (Moja wyprawa kijowska, O. B. nr. 32/33), że wywołując z pamięci ówczesne przeżycia nie potrafiłem żadnym sposobem wskrzesić jednego szczegółu: imienia mojego konia z tego okresu. Pamiętałem doskonale jego maść i wygląd, wspominałem sceny zapoznania się z nim i wspólnie odbyte marsze, ale imienia, które — zdawało mi się — unosiło się nad tymi obrazami, które gdzieś utkwilo w mrocznym lamusie mojej pamięci, w jakimś najczarniejszym zakątku, nie umiałem ani rusz stamtąd wydobyć. Każdy chyba zna tę mękę przypominania sobie czegoś, to bolesne skupienie myśli i te różne chytne sposoby, jakich się imamy, aby cel taki osiągnąć.

Próbowałem rzucić światło na ten ciemny zakątek rejestru mojej świadomości, zwanej pamięcią, rozmaitymi metodami. Przede wszystkim, przywoływałem obrazy, które kojarzyły się ze sprawą konia w moim życiu i które tą drogą pośrednią mogły dokonać dzieła. Przypominałem więc sobie wpierw imiona koni innych, naprzód wojskowych poprzednich, Reka i Rycerza, a potem dawniejszych, od dziecinnych czasów. Imiona kuców, pierwszych wierzchowców, na których jeździło się na oklep, kasztanki Donki i gniadego Figlarza, potem Lorda, skarogniadej Elki i szpaczki Domeny, wreszcie w latach powojennych i późniejszych kiedy już rzadziej jeździłem konno, jakiejś przelotnej Alraune, czy ostatniej, gorącej i nerwowej Zanety, aby na tym długim torze współżycia z końmi odnaleźć upragniony dźwięk zaginionego imienia. Podczas rozległej tej wyprawy pamięcią w przeszłość ożywały mi też całe okresy życia, jak w powieści jednej z naszych autorek przedwojennych, która opisywała swoje życie kolejno po sukniach, po służących, po mężach. Nie lubiłem tej autorki ani tej smutnej powieści i wzdrygnąłem się na to zestawienie, świadczące o własnej teraz starości.

Zastosowałem metodę inną, raczej mechaniczną, przy pomocy której kiedyś w sowieckim więzieniu przypominałem sobie rozmaite nazwiska ludzkie: próbowałem je dobyć z pamięci przez rozpoczynanie eksperymentów na kolejne litery abecadła. Uroiło mi się przy tym, że poszukiwane imię korsuńskiego kasztana (jego męskiej płci byłem pewien) rozpoczyna się na N albo P. Próbowałem więc rozmaitych Nogatów i Nygusów, Namysłów i Nalotów

albo Pilotów i Piratów, lecz bezowocnie. Imię konia, którego dosiadłem po raz pierwszy w Korsuniu nocą i którego piękna złocista maść wyłoniła mi się z mroku dopiero w marszu z jasnościami wschodzącego słońca, kryło się dalej za żelazną kurtyną zapomnienia. Bezsilnie tłukły się o nią rozpaczliwe wysiłki systematycznych spekulacji.

Mijały dni i tygodnie. wspomnienie moje ukazało się w Orle Białym bez zapomnianego imienia konia i traciłem nadzieję na wskrzeszenie z pamięci mnemotechnicznymi zabiegami. Myślałem już, że przepadło mi na zawsze jak skarb prawdziwie bezcenny, niematerialny, zaledwie błysk dźwięku w krajobrazie dawnego czasu i godło osobowości szlachetnego tworu bożego.

Stało się jednak inaczej w okolicznościach, ważnych chyba dla tajemnicy wskrzeszenia wspomnień i wartych przytoczenia. Jeden z oficerów pułku przeczytał „Moją wyprawę kijowską“ w Orle, zainteresował się nią w dalekim kraju, napisał do mnie list i zaopatrzył go w taki przypisek: „skandal, że nie pamiętasz imienia twego konia“. Cała sprawa, dramat rozpaczliwych poszukiwań w lamusie pamięci i poniżający smak niepowodzenia, wszystko to ożyło, pobudzone przeczytaną uwagą.

Wstałem od stolika i podszedłem do okna. Szary poranek, zamglone niebo nad jednostajnymi dachami londyńskich kamienic, sylwetka samolotu przesuwającego się poprzez chmurę ku lotnisku, to wszystko nie miało nic wspólnego z barwnym krajobrazem naddnieprzańskiej Ukrainy ani z wydłużoną kolumną jazdy, maszerującą dwójkami pośród rozległych pól. A przecież wtedy właśnie, nagle i już bez wysiłku z mojej strony wyskoczyło mi z pamięci poszukiwane imię: *Świder, Świder, Świder*, nie mogłem się powstrzymać od głośnego powtarzania go samemu sobie. Ogarnęła mnie radość i dumą i wdzięczność dla autora listu za to, że stał się dobrym przewodnikiem iskry zapalanej w ciemnościach. Wykonana praca poprzednia nie okazała się zbyt cenna, uzbrajałem stos materiału, ale prometejski ogień zapalenia go musiał widać przyjść jakąś swoją tajemniczą drogą. Stało się to w końcu jakby samo z siebie; wspomnienie wyszło z mroku niepamięci lekko i wesoło, jakby schowało się było przedtem dla zabawy.

Nie jest w duchu dzisiejszego czasu mówić

z uczuciem i szacunkiem o koniu. Gdzież mu się równać z motorem, z jeepem czy cariersem, czołgiem czy samolotem... Miał jednak koń swoją wielką historię, wielokrotnie dłuższą od kariery motorów, nie utracił swego znaczenia całkowicie i może odzyskać swoją większą wartość praktyczną na nowo. Ludzka strona wojny i żołnierki nie zmienia się zresztą ze zmianami techniki. Nie jest też sentymentalizmem mieć sentyment do konia, który był ułanowi wierzchowcem, a któremu się było troskliwym piastunem, podobnie jak dziś piastują swoje martwe motory żołnierze nowocześni, ożywiając je z kolei imionami i serdecznym przywiązaniem.

Ciepłe musiało ono być wobec konia, istoty żywej, żywego i współczującego towarzysza długich marszów, rozkosznych odpoczynków na postojach, ciężkich trudów i bojów, w których los jeźdźca wiązał się z losem konia i w których ugodzony kulą także krew przelewał. Nie trzeba chyba dłużej uzasadniać, dlaczego wart on jest uczuć i pamięci serdecznej żołnierza.

Z. BORYNICZ

STEFAN LEGEŻYNSKI

CEJLON

*Dziwne łodzie Cejlon wysyła
ku topieli dziwnie zielonej.
Trzaska fala mlekiem o bryły,
koralowe, w fali zgubione.*

*Szturm za szturmem morze przypuszcza,
w brzeg skalisty, dziwnie uparty.
A na brzegu palmowa puszcza.
Skały wyszły z morza na wartę.*

*Gnie się wyspa jak motyl w maju,
jest zielona cała, dymiąca,
z morza wyszła, Wenus tych krajów,
niewolnica wieków i słońca.*

*Piramida życia pod niebo
rozprażone, wytryska siłą.
Tu czulej zachęty nie trzeba.
— Parna wyspa, gorąca miłość.*

CHIROPRAKTYKA

O SIEMDZIESIĄT lat temu lekarz amerykański w Davenport, Indiana, zauważył na karku swego służącego — Murzyna — dziwny guz. Zaczął go masować i nacierać, czyli jak się to mówi dziś zawodowo „manipulować“. Guz znikł. Co dziwniejsze służący odzyskał słuch i mowę choć był głuchoniemy.

Tak się zaczęła tzw. chiropraktyka, która ma obecnie miliony zapalonych wyznawców po obu stronach Atlantyku, a której przedstawiciele twierdzą, że są drugim pod względem liczebności i rezultatów zawodem leczącym. Zawodem 1-ym pozostają dalej „normalni“ lekarze. Stosunek prawa i medycyny do chiropraktyków jest pełen zastrzeżeń i bardzo ostrożny. Nie traktuje się już ich jednak jako szarlatanów i „magików“. Na niektórych uniwersytetach prowadzi się poważne studia nad ich metodami leczniczymi, chiropraktykę uprawiają także lekarze, w Niemczech Zachodnich od szeregu lat medycyna współpracuje z chiropraktyką bardzo poważnie, wydaje się bowiem, „że coś w tym jest“.

Oczywiście istnieją związki zawodowe chiropraktyków, które czuwają nad tym, by pod nazwą tę nie podszywali się ludzie niekwalifikowani, znachorzy różnego pokroju lub po prostu masażyści. Są, w Ameryce, szkoły o kilkoletnim kursie obejmującym histologię, biochemię, anatomie, i inne tradycyjne dyscypliny medycyny obok podstawowej wiedzy, którą jest leczenie schorzeń różnego typu, lecz wpływających z zaburzeń systemu nerwowego w sposób mechaniczny.

Chiropraktyka bowiem utrzymuje, że wady wrodzone lub nabyte w układzie kręgow, wykoszlwiają prawidłowe działanie komórek nerwowych w mózgu i w stosie pacieryzowym, wskutek czego schorzeniu ulegają inne organy. Nastawienie odpowiednich kręgow, wyprostowanie „drzewa życia ludzkiego“ jak kręgosłup nazywali Grecy, może usunąć wiele objawów i co ważniejsze przyczyny wielu chorób w stosunku do których medycyna oficjalna jest bezsilna, lub które leczy sposobem bardzo żmudnym i z niepewnymi wynikami.

Główna bowiem zaleta chiropraktyki polega na szybkości z jaką fachowiec doprowadza odpowiednie kręgi do właściwego położenia. Wymaga to kolosalnej wprawy, umiejętności i wiedzy. Chorobami, o których chiropraktyka twierdzi, że umie je leczyć są różne rodzaje reumatyzmu, zaburzenia nerwowe, niektóre rodzaje paraliżu, popularne „lumbago“ i różne objawy nerwicowe. Tu oczywiście rozciągłość jest ogromna, największe też jest ryzyko, gdyż źródło bólów może mieć przyczynę zupełnie nie związaną z kręgami, a tych wypadków chiropraktyk leczyć się nie podejmie.

W każdym kraju, nawet tam gdzie chiropraktyka nie współpracuje oficjalnie z lekarzami są instytucje, które rejestrują chiropraktyków. Do nich należy się zawsze zwrócić, zanim podejmie się decyzję poddania się coraz to modniejszej obecnie kuracji. Adresy można łatwo znaleźć w książkach telefonicznych w każdym wielkim mieście.

G. S. Courtney

PERŁY MAŁGORZ

PROSZE pana — powiedz mi zdecydowanym głosem John Denton — Nie będę marnował mego czasu — i pańskiego. Wezwałem pana w sprawie następującej: moja żona przebywa od kilku dni w siedzibie Lorda i lady Alterman, którzy dzisiaj w nocy urządzają wielkie przyjęcie. Żona dzwoniła do mnie, aby jej przesłać naszyjnik. Ponieważ nie mam czasu sam go odwiedzić, a nie mam zwyczaju oddawać kosztowności w ręce służby — pan rozumie, naszyjnik jest wart ponad dwadzieścia tysięcy funtów — chcę pana zaangażować do odwiedzenia naszyjnika do Alterhallu.

— Jak daleko jest z Londynu do Alterhallu? — zapytał Donald.

Denton otworzył szufladę swego biurka i wyjął stamtąd mapę drogową.

— Ja, panie McKeogh, nie lubię mówić więcej, niż koniecznie potrzeba. Trasę ma pan narysowaną czerwonym ołówkiem. Jak pan ma samochód?

— Nową Anglię — z pewną dumą zakomunikował Donald, który bardzo niedawno pozbył się swego starego grata na rzecz nowego wozu.

— Powinien pan tam być w cztery godziny — zdecydował finansista, pukając ołówkiem w stół — Ostatni odcinek, to boczna droga od Chiddenham, niezbyt wygodna, ale też i mało uczęszczana.

Donald spojrzął na mapę. Istotnie, podróż nie powinna mu zająć więcej, niż cztery do pięciu godzin.

— Zdecydował się pan? Musi się pan spieszyć, bo przyjęcie zaczyna się o dziesiątej wieczorem, a już jest trzecia — Denton spojrzął na Donalda spojrzeniem, oznaczającym: „Kończ sprawę i żegnaj”.

Donald nie namyślał się. Ofiarowana gaża wydawała mu się conajmniej wystarczająca za tego rodzaju wycieczkę. Podniósł się z fotela:

— Tylko wpadnę do domu i natychmiast wyruszę.

— Doskonale. Sekretarka moja wypłaci panu zaliczkę — pan woli gotówkę, prawda? Ale

przedtem niech pan zabierze perły.

Denton wydobyl ze schowka podłużne, skórzane pudełko, otworzył je małym kluczykiem i pokazał Donaldowi sznur pereł, leżący na dnie.

— Zna się pan na perłach? — zapytał.

— Nie! — szczerze odpowiedział detektyw.

Danton starannie zamknął pudełko i schował kluczyk do kieszeni.

— Moja żona ma przy sobie drugi kluczyk — wyjaśnił, widząc spojrzenie Donalda — Niech pan podpisze pokwitowanie odbioru pereł i niech się pan spieszy. Moja żona będzie bardzo rozczarowana, jeżeli pan się spóźni.

— Niech się pan nie boi, nie spóźnię się — uspokajał go Donald, chowając pudełko do kieszeni — Mam masę czasu.

Finansista wyciągnął do niego chłodną rękę.

— Dowidzenia, panie McKeogh.

Donald niejednokrotnie miał już sobie powierzone klejnoty i wypracował sobie pewne instrukcje osobiste odnośnie tego rodzaju zadań. Punktem numer jeden było: „Nigdy, pod żadnym pozorem nie wozić klejnotów w jubilerskich pudełkach”. Raz tylko w życiu zdarzyło mu się, że został przy wypełnianiu podobnej funkcji okradziony, ale lekcja ta utkwiała mu na całe życie w pamięci. Gdyby nawet miał przewozić klejnoty z mieszkania do mieszkania w Londynie, zawsze starałby się je umieścić w miejscu, nieprzewidzianym dla ewentualnego amatora cudzej własności.

Znalazłszy się w domu, bez trudu otworzył uniwersalnym kluczem zamek pudełka i wyjął stamtąd perły. Przez chwilę spoglądał na nie z pewnego rodzaju filozoficznym rozczarowaniem. Wcale mu się nie wydawały

piękne. Wzruszył ramionami. Dla takiego głupstwa ludzie płacą ponad dwadzieścia tysięcy funtów! No, ale to nie jego interes. Szybko przebrał się w swoje specjalne ubranie, zaopatrzone w dodatkową kieszeń wewnątrz spodni na łydce, gdzie wsunął perły. W pudełko włożył odpowiednią ilość gwoździ, zamknął je i schował w kieszeni na piersi, koło portfela. Potem jeszcze raz spojrzął na mapę i zeszedł do samochodu.

Pogoda była ładna, i piątkowa ucieczka z miasta już się rozpoczęła. Donald pocieszał się, że jego kierunek — na Rutland — nie będzie bardzo popularny wśród wyjeżdżających, ciągnących wielkimi stadami nad morze. Istotnie, już po za Londynem zrobiło się przestronniej na drogach i Donald mógł zwracać mniejszą uwagę na prowadzenie, co pozwoliło mu uprzytomnić sobie rozmaite wiadomości, jakie za pośrednictwem prasy codziennej otrzymywał na temat osoby i działalności swego dwudniowego chlebobdawcy.

John Denton był typowym okazem człowieka, który zrobił pieniądze z niczego. Zaraz po wojnie udało mu się zakupić po cenie kosztu najrozmaitsze zapasy państwowe, najzupełniej dla celów pokojowych, zdawałoby się, nieprzydatne, które jednak sprzedawał z kolosalnym zyskiem, wmawiając przy pomocy ogłoszeń w cierpiącą na nadmiar pieniędzy publiczność, że tego jej właśnie do szczęścia potrzeba. Stopniowo przerzucił się na operacje spekulatywno-finansowe, a na koniec na handel nieruchomościami. Do uszu Donalda nie raz docierały szeptane informacje, podające w poważną wątpliwość zgodność z prawem niektórych śmiałych posunięć Dentona; kilka razy blisk był bankructwa, ale zawsze jakoś potrafił wybrnąć z trudności. Ożenił się kilka lat temu z ładną i bardzo bogatą panną, pochodzącą ze sfer fabry-

RZĄTY DENTON

kanekich, i jak twierdzono, przez pierwsze dwa, czy trzy lata ogromnie był w niej zakochany. Później zaczął zbaczać z drogi małżeńskiej cnoty i chętnie podsycał snobistyczne skłonności swojej lepszej połowy, zachęcając ją do jak najczęstszych odwiedzin w wiejskich rezydencjach swoich utytułowanych przyjaciółek. O jego eskapadach krążyło wiele opowiadań po Londynie. Zapewne sporo było w nich przesady, ale jedno nie ulegało wątpliwości: John Denton był znaną i w swoim rodzaju popularną osobistością. Ludzie prosząc patrzyli na niego z satysfakcją, jako na jednego z nich, który „pokazał tym pasorzytom, co my umiemy“, a arystokracja widziała w swoim całkowitym dopuszczeniu go do ich towarzystwa dowód przekonujący szerokości własnych poglądów.

Donald westchnął. Czemuż to on nigdy nie miał najmniejszych zdolności do interesu? Ale pocieszył się szybko. Ostatecznie, on przecież żyje — i to wcale nie źle — właśnie z takich ludzi, którzy mieli tego rodzaju zdolności, albo też doszli do pieniędzy jeszcze bardziej uproszczoną drogą: przez dziedziczenie. W tej chwili zresztą jedno tylko było ważne: aby zdążyć do Alterhallu na umówioną godzinę. Spojrzał na zegarek. „Wcale nieźle“ — pochwalili sam siebie. Jechał zaledwie godzinę, a przejechał niewiele mniej, niż jedną czwartą drogi. Jeżeli wziąć pod uwagę trudności przy wydostawaniu się z Londynu, po prostu nie było mowy o spóźnieniu. Uśmiechnął się z zadowoleniem i dodał gazu.

Boczna droga po przejechaniu Chiddenham, przed którą słusznie ostrzegał Donalda jego chwilowy pracodawca, była niewątpliwie jedną z najgorszych dróg w Zjednoczonym Królestwie. Nawierzchnia, prawdopodobnie nigdy nie reperowana od chwili jej położenia, co musiało

mieć miejsce mniejwięcej w czasach Wilhelma Zdobywcy, samym swoim widokiem wywoływała znany wszystkim posiadaczom nowego samochodu przykry skurecz serca u Donalda. Zciemniło się już i wszystkie pęknięcia asfaltu wyglądały w świetle reflektorów na kolosalne rozpadliny, grożące życiu i zdrowiu niebacznych kierowcy. Wysokie żywopłoty odcinały resztę świata od przedhistorycznej drogi. Donald jechał niezmiernie powoli, klnąc w sposób zdecydowanie paskudny. Nie pocieszał go nawet fakt, że droga była idealnie pustą. To było zresztą zupełnie zrozumiałe. Gdzie był drugi taki wariat, który by się zdecydował na podobną przeprawę? Donald jechał i cierpiał nad losem swego wozu.

Na pięć do sześciu mil przed Alterhalliem natknął się na gwałtowny zakręt, po przebrnięciu którego znalazł się w świetle reflektorów stojącego na środku drogi wozu, przy którym majaczyły dwie postacie. Zatrzymał swoją Anglię bez trudności wobec minimalnej szybkości, z jaką się posuwał. „Pewnie wczesni goście do lorda Alterhama“ — pomyślał — „Coś się im popsulo“. Wysiadł z wozu i podszedł do dużego, ciemnego Daimlera.

— Nie działa? — zapytał.

Jeden z nieznanym podniósł twarz z ponad otwartej maski Daimlera:

— Co się popsulo, ale nie bardzo wiem, co — odpowiedział — Może pan się na tym zna?

Donald miał mniejwięcej takie same pojęcie o silnikach samochodowych, jak przeciętny automobilista, ale podobnie jak on, za żadne skarby nie przyznałby się do swojej niesłychanie ograniczonej wiedzy.

— Niech pan pozwoli — wzięła latarkę z ręki niezajomego i nachyliła się nad motorem. Powiódł bladym światłem po imponującym zestawie cylindrów.

— Na pierwszy rzut oka wszystko w porządku — rzucił z pewnością znawcy.

W tej samej chwili poczuł silne uderzenie w tył głowy. „Perły!“ — pomyślał i czarna zasłona spadła na jego świadomość.

— Jest pan pewien, że może pan odpowiadać na nasze pytania, panie McKeogh — troskliwie zapytał inspektor Rose, usadowiony na krześle przy łóżku Donalda w szpitalu w Chiddenham.

— Najzupełniej, panie inspektorze. Gdyby nie ból głowy, czułbym się wprost świetnie — odpowiedział Donald, dotykając ręką bandaża, otaczającego jego czaszkę.

Małgorzata Denton, siedząca na drugim krześle obok inspektora, ze współczuciem patrzyła na Donalda.

— Nie ma pan pojęcia, jak mi przykro, że to przeze mnie naraził się pan na tego rodzaju przejścia.

Współczucie pięknej kobiety niezmiernie pochlebilo Donaldowi.

— To głupstwo, proszę pani. W naszym zawodzie musimy być przygotowani na wszystko.

— Bohater! — westchnęła z podziwem pani Małgorzata. Ale inspektor przerwał tę wymianę grzeczności:

— Jak pan się zapewne domyśla, pański portfel i — co gorsza sznur pereł pani Denton zniknęły razem z przestępcami.

Donald uśmiechnął się. Przepadał za teatralnymi efektami.

— Czy mogę poprosić o moje spodnie? — zwrócił się do stojącej przy łóżku pielęgniarki.

— Panu jeszcze nie wolno wstawać — powiedziała surowo.

— Nie wstanę — zapewnił ją — Ale prosiłbym o moje spodnie.

Po krótkiej chwili spodnie zostały doręczone Donaldowi. Sięgnął ręką do ukrytej kieszeni i z triumfem wyciągnął sznur pereł.

Oto są perełki pani Denton — stwierdził niedbale.

Efekt był wręcz piorunujący. Inspektor zaklął, a piękna ko-

(Dokończenie na str. 6)

PERŁY MAŁGORZATY

(Dokończenie ze str. 5)

bieta wydała lekki okrzyk. Donald napawał się swoim triumfem.

— Proszę, oto są pani perły — powtórzył.

Małgorzata Denton ostrożnie, jagdyby nie dowierając własnym oczom, wzięła perły w rękę. Podniosła je w górę i nagle wydała drugi okrzyk. Perły upadły na podłogę.

— To nie są moje perły — zawołała śliczna pani — To nędzna imitacja!

Z kolei Donald wytrzeszczył zdumione oczy.

— Imitacja? Ależ to są perły, które pani mąż...

— Zaraz, zaraz — przerwał rzeczowo inspektor — Musimy spisać pańskie zeznania w tej sprawie. Zdaje pan sobie oczywiście sprawę z tego, że wszystko, co pan powie, może być użyte przeciw panu w sądzie.

Donald zamknął oczy. Przeskok od triumfu do klęski był zbyt duży. Miał wrażenie że spada w głęboką przepaść.

— Chwileczkę — w mieszała się pani Denton — Na jakiej podstawie podejrzenia pan człowieka, któremu o mało nie rozłupano czaszki, rabując perły?

Inspektor potarł w zamyśleniu czoło.

— Wybacz pani, ale są w tej sprawie tylko trzy możliwości — wyjaśnił. Albo złodzieje porwali oryginalne perły, wymieniając je na fałszyfikat, nieprawdopodobne, bo w jakim celu? — albo pan McKeogh sam wymienił oryginał na fałszywe perły i symulował w porozumieniu z współnikami napad — zupełnie prawdopodobne — albo wreszcie pani mąż dał fałszywe perły panu McKeogh — wątpliwe, bo w jakim celu?

Piękna pani uśmiechnęła się.

— Pan nie zna mojego męża, panie inspektorze.

Dochodzenie policyjne potwierdziło prawdę słów Donalda. Jeden z jego napastników popełnił dużą nieostrożność przy sprzedawaniu skradzionego Donaldowi zegarka z dedykacją od lady Port-

wicke i po aresztowaniu przyznał się, że zostali obaj wynajęci przez Dentona dla upozorowania kradzieży pereł. Zgodnie z instrukcjami mocodawcy zakopali pudełko, mające zawierać fałszywe perły, a w rzeczywistości wypełnione przez Donalda gwoździakami. Pudełko zostało odkopane we wskazanym miejscu. Denton początkowo zaprzeczał wszystkiemu, oskarżając Donalda o wymianę pereł, ale po konfrontacji z wynajętym przez siebie rzeźmieszkim przyznał się do wszystkiego.

W przystępstwie hojności obdarował swoją ostatnią przyjaciółkę perłami żony. Gdy ta nieoczekiwanie zażądała od niego przysłania pereł, Denton doszedł do wniosku, że najprościej będzie sfingować kradzież naszyjnika, co definitywnie załatwi sprawę. Aby mieć bezstronnego świadka wydarzenia, wynajął Donalda do przewiezienia pereł. Po zakopaniu przez napastników pudełka z fałszywymi perłami wszelkie tropy były zatarte, a Denton na dodatek mógłby się domagać wypłaty sumy, na którą perły były ubezpieczone. Gdyby nie przezorność Donalda, nie uległo wątpliwości, że plan Dentona musiałby się udać.

— Rozumiem wszystko — powiedział Donald do pani Denton w czasie jej pożegnalnych odwiedzin w szpitalu, który miał opuścić jutro — Ale dlaczego pani mąż ryzykował tego rodzaju historię, zamiast się pani przyznać do swego błędu? To chyba byłoby bezpieczniejsze?

— Nic pan nie rozumie, panie McKeogh — zaśmiała się Małgorzata — Mój mąż wprowadził mnie już nie kocha, ale ogromnie kocha pieniądze. A w swoim czasie dla uniknięcia możliwości utraty majątku na skutek rozmaitych posunięć spekulacyjnych przepisał na mnie bardzo znaczną jego część. W razie rozvodu musiałby się z tymi pieniędzmi pożegnać.

— No, dobrze — nie dawał za wygraną Donald — Skoro się pan z nim dotychczas nie rozwiodła, dlaczego miałyby to pani zrobić z tego właśnie powodu?

Małgorzata podniosła na niego roziskrzona oczy:

— A niech on sobie dnie i noce spędza z kim innym! To mnie nie obchodzi! Ale żeby taka (tu piękna pani użyła wyrazu absolutnie nie nadającego się do druku) miała nosić moje perły? Tego mu nigdy nie wybaczę! Nigdy!

„Dziwne są te kobiety“ — pomyślał Donald i z wielką przyjemnością spojrzął w czarne oczy Małgorzaty Denton.

— Ma pani najzupełniejszą rację — powiedział.

Wojciech STEFAŃSKI

KALEJDOSKOP...

(Dokończenie ze strony 1)

Narodzenia odbywa się ceremonia plum-puddingu, a cztery piąte Hindusów wita Nowy Rok śpiewając „Auld Lang Syne“. — Tragifarsę stanowią w Indiach pomniejsi urzędnicy brytyjscy, pozostałość z czasów angielskiego panowania. Przyjęli obywatelstwo indyjskie, zajmują posady lepiej płatne aniżeli mieliby w Anglii, ale ponieważ są to ludzie mniej niż przeciętni, nie cieszą się zbyt dużym poważaniem. Zawiśli więc pomiędzy W. Brytanią, której nigdy na oczy nie widzieli a Indiami, do których właściwie nie należą.

Ukazały się dwie prace o braciach Goncourt. Jedna nosi tytuł „The Goncourts“ Roberta Baldicka, wyd. Bowes; druga André Billy, „The Goncourt Brothers“, wyd. André Deutsch. Żadna nie przynosi rewelacji o braciach-pisarzach. W jednej i drugiej widzi się ich takimi, jacy byli — ciekawym zjawiskiem spółki literackiej; zwolennicy naturalizmu w literaturze, wybredni styliści, znawcy francuskiej sztuki osiemnastowiecznej i anegdoty, pionierzy w propagowaniu sztuki orientalnej i autorzy ciekawej kroniki paryskiego życia artystycznego z drugiej połowy ub. stulecia. Robert Baldick mówi o tym wszystkim żwięźle, jasno i rzeczowo. André Billy zagłębia się bardziej w szczegóły, przez co mniej panuje nad całością.

thm.

GRETA GARBO W ROLI HELENY MODRZEJEWSKIEJ

Sensacyjny powrót wielkiej aktorki szwedzkiej do filmu

ZNANY tygodnik szwajcarski „Die Weltwoche” przynosi w ostatnim numerze z dn. 9 bm. niezmiernie ciekawą wiadomość. W formie korespondencji z Nowego Yorku pióra H. B. Kranz'a do wiadujemy się, iż Greta Garbo, nieśmiertelna czy „boska Garbo” porzuca swoją samotność na którą sama się skazała (ku żalowi entuzjastów jej wspaniałego talentu aktorskiego), by zagrać w filmie rolę „wielkiej polsko-amerykańskiej aktorki Heleny Modjeskiej” (zachowujemy pisownię „Die Weltwoche”).

Nie ulega wątpliwości, iż jest to wiadomość wręcz sensacyjna. Ocenic ją może przede wszystkim pokolenie starsze, dla którego nazwisko Greta Garbo oznacza całą epokę, symbol, wspomnienie niezapomnianych filmów w których występowała wielka artystka szwedzka, która z jakichś nigdy bliżej nieokreślonych względów, będąc u szczytów sławy, wycofała się z ekranu, wiodąc od kilkudziesięciu lat tajemnicze życie w osamotnieniu. Dziś Greta liczy sobie nieco ponad 50 lat i wydawało się, iż już nigdy nie ujrzymy jej w filmie. A tu nagle...

Jak donosi „Die Weltwoche” Greta Garbo podpisała umowę z amerykańską wytwórnią filmową Paramount na nakręcenie filmu pt. „Helena Modjeska” na sumę 1.500.000 dolarów plus 10 procent z dochodów brutto. Film nakręcony będzie na podstawie książki pióra Antoniego Gronowicza pt.: „Modjeska, jej życie i miłość”. Gronowicz opracowuje oczywiście rękopis filmowy. Co więcej — Gronowicz opracowuje również tekst dla jednego z teatrów nowojorskich, przy czym główną rolę ma grać sama Catherine Hepburn. Później — czytamy dalej — telewizja ma przedstawić dzieje amerykańskiej „Sarah Bernhardt”, której los jest niejednokrotnie podobny do losu wielkiej Szwedki.

Autor korespondencji pisma

szwajcarskiego podaje następujące szczegóły z życia „pięknej Heleny Modrzejewskiej”:

Helena Modrzejewska urodziła się w Krakowie 1840 r. Wychowała się w kręgu 10-ga rodzeństwa, jako przybrana córka biednego nauczyciela muzyki. Zmarł on rychło jak również jej ojciec, i odtąd Helena musiała pomagać w gospodarstwie domowym. Mając lat 14-cie wystąpiła po raz pierwszy w teatrze, gdzie ją entuzjastycznie przyjęto. Rozpoczęła regularną naukę śpiewu i gry na scenie. Cztery lata później poślubiła swego opiekuna, Gustawa Modrzejewskiego. Jak pisze Kranz „być może uczyniła to dlatego, iż musiała zrozumieć, że nie może poślubić swej pierwszej miłości, którą był Igo Neufeld, syn małomieszczańskiej rodziny żydowskiej. (I Greta nie mogła poślubić swej pierwszej miłości, Maurice Stiller'a). Autor korespondencji przypuszcza iż, być może, Helena postąpiła tak ze względów finansowych, bo Modrzejewski mógł pomóc w jej karierze. W każdym razie nigdy nie mogła Neufelda zapomnieć, wspominała go nawet na krótko przed śmiercią.

Utworzono trupę teatralną, która wystawiała sztuki Schillera i autorów francuskich, występując w Krakowie, Poznaniu, we Lwowie, a zawsze z największym powodzeniem. To wtedy właśnie, z uwagi na zagranicę, przyjęła nazwisko „Modjeska” — dla łatwiejszej wymowy.

W 1866 poznała hr. Bozentę, krytyka teatralnego i naczelnego redaktora pewnego pisma krakowskiego. To on właśnie zaprosił Helenę do Paryża, gdzie wystąpiła w roli „Ifigenii” Racine'a (tekst wypowiedziany by oczywiście w jez. francuskim). Dwa lata później — poślubiwszy hr. Bozentę — „pierwsza aktorka Polski” otworzyła w Warszawie salon w którym gromadziła się międzynarodowa elita poetów, muzyków, malarzy, uczonych, dyplomatów i polityków.

Wyczerpana intensywnym ży-

ciem towarzyskim i politycznym zemdląca pewnego dnia po jakimś przedstawieniu i przez 6 miesięcy nie zjawiała się na scenie. Na sugestię Sienkiewicza wyjechała z mężem i paroma przyjaciółmi do Stanów Zjednoczonych (via Brema—Nowy York—San Francisco). „Grupa osiedliła się na farmie, mężczyźni leżeli w hamakach i palili papierosy, niewiasty przygotowywały w kuchni polskie smakołyki. Nikt spośród nowych „farmerów” nie miał pojęcia o pracy na roli”.

Takie życie nie mogło trwać wiecznie i Helena musiała się ogłądać za jakimś zajęciem, by zarobić na kawałek chleba. Przez 6 miesięcy uczyła się angielskiego, po czym zaprezentowała się jakiemuś dyrektorowi teatru, który popłakał się, gdy mu zagrała wyuczone poprzednio role. Nowy dyrektor zaangażował ją na 2 lata. „Po tygodniu była Helena Modrzejewska — obok Ellen Terry — najznakomitszą aktorką Ameryki. Grała rolę Julii, Ofelii, Rozalindy, Damy Kameliowej i zdołała Nowy York, Waszyngton, Boston, Filadelfię, Pittsburg, Atlantę. Podróżowała w luksusowym, prywatnym wagonie kolejowym, pierwszym, jaki kiedykolwiek wybudowany został dla aktorki. Gdziekolwiek przybyła teatry były wyprzedane, a publiczność przyjmowała ją burzliwymi oklaskami”.

„...Resztę życia Heleny można opowiedzieć w kilku słowach. Grała w Londynie, Krakowie, Paryżu... Miała wówczas opanowane role w 3 językach. Mężczyźni, którzy leżeli wtedy u jej stóp, nie da się policzyć”.

Ostatnie lata swego życia — a liczyła wtedy 67 lat — spędziła w Santa Ana, w Kalifornii. Umarła w 1909 r. a mąż sprowadził zwłoki do Krakowa na ostatni spoczynek. Wtedy dopiero przypomniała sobie Ameryka „swoją” Sarę Bernhardt — pisze Kranz.

(Dokończenie na str. 8)



Paul Coupille: „STAW“, olej o przewodze cieni złotych, sepii i brązu. Mocna gra światła z tendencją do efektów oślepiających. Klasyczny przykład kontynuacji wizji kolorystycznych Cezanne'a i Van Gough'a podyktowanych przez krajobraz i słońce Prowansji. — Foto: Bednarski.

Obecna wystawa w londyńskiej Galerii Grabowskiego pokazała płótna trzech malarzy. Najstarszy, John Duguid, spędził 14 lat w Chile. Jego akty i pejzaże oznaczają się dużą pewnością techniki, przy ortodoksyjnym wyborze tematyki. Osiągnął dojrzałość, która wyłącza nadzieje na dalsze twórcze szukanie nowych rozwiązań i koncepcji. Jo Ellis

Tracy, urodzony przed 27 laty w Oklahoma, więcej jak dotychczas wykazuje wpływ atmosfery pracowni europejskich niż natchnień czerpanych z pięknej i swobodnej atmosfery rolniczej Ameryki.

Najciekawszym bezsprzecznie jest młody Prowansalczyk Paul Coupille. Urodzony nad brzegami dławiącej pięknem swych szu-

warów Durance, poszedł mimo-woli w ślady swych wielkich poprzedników, którzy umieli zakłąć światło słoneczne w duszę malowanych przedmiotów, ludzi i nastrojów. „Mimowoli“, gdyż nie kształcił się nigdy w sensie formalnym i nie należy do żadnej „Szkoły“. Z inklinacji abstrakcjonista nawiązuje śmiało do tradycji: portrety są jakgdyby nowym „przekładem“ malarskim wielkich Flamandczyków czy Holendrów, pejzaże prowanskie przedłużają żywot malarski Van Gough'a.

Można go określić jako „abstrakcjonistę tradycyjnego“, co nawet przy zastosowaniu wszystkich obaw i wątpliwości, jakie hamują zwykle zapędy w pochwałach ostrożnego krytyka, czyni z jego płócien klasę samą dla siebie.

Klasą tą pozostanie.

Paweł Zaremba

GRETA GARBO...

(Dokończenie ze str. 7)

„Postać Modrzejewskiej otaczał magiczny czar — pisały wówczas gazety. Godność, czar, gracia, miłość i cierpienie stapiały się w Helenie Modrzejewskiej w nieporównany urok“.

Podaliśmy tylko, niektóre fragmenty z ciekawego życia Modrzejewskiej. Zdajemy sobie sprawę, że nie wszystko zostało powiedziane. I nie o to w tej chwili chodzi. Ważniejsze bowiem jest, iż Greta Garbo jest chyba jedyną aktorką, która jest w stanie zrozumieć Modrzejewską z którą miała tak wiele wspólnego. Poznawszy więc na podstawie bogatych studiów całe życie naszej znakomitej rodaczki, doszła do przekonania, iż dla odtworzenia tego warto porzucić samotność w której szukała od wielu lat schronienia przed ciekawością i przed światłami reflektorów. Nakręcanie filmu potrwa z pewnością rok lub więcej. Na film ten czekać będziemy wszyscy z największą niecierpliwością, my Polacy i świat cały. Będzie to chyba jedna z najbardziej sensacyjnych premier. (T. H.)